

CENA: 5 ZŁ

NR 87/88 WRZESIEŃ/GRUDZIEŃ 2011

ALEJE

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

NUMER
PODWÓJNY

IDZIE NOWE:

ART.eria
pierwszy strzał
- str. 6

Festiwal
Dekonstrukcji Słowa
"Czytaj!"
- str. 20

Malarstwo
nieskończone
Anny Wójcik
- str. 16

Biała lokomotywa
- 35-lecie pracy twórczej
Mariana Panka
- str. 65

ISSN 1427-8812

Anna Wójcik

- rocznik 1986. Absolwentka Zespołu Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego, studentka Akademii Jana Długosza na kierunku malarstwo. Młody, artystyczny głos miasta, który daje o sobie znać z coraz większą śmiałością. Podczas tegorocznej nocy kulturalnej, w ramach aTrakcji, przygotowała gadającą instalację w zabytkowym tramwaju. Podczas ART.eriai pokazywała swoje malarstwo i przemieniła pomnik Henryka Sienkiewicza w kolorowego superbohatera. Wyjątkowo pracowity był dla niej tegoroczny listopad. Najpierw wspólna wystawa z Bartoszem Frączkiem i Justyną Warwas w „Galerii Steel Forest/ Stara Papiernia” w podwarszawskim Konstancinie, następnie pierwsza indywidualna ekspozycja w częstochowskim Centrum Promocji Młodych. Jądrzem tej wystawy jest kilkanaście metrowych płócien, składających się na otwarty projekt „nieskończonego” obrazu. Moduły malowane są tak, by każdy mógł istnieć jako osobny obraz. Dodatkowo jednak istnieje możliwość przedstawiania poszczególnych elementów, tworząc nowe kompozycje.

Rozmowa z Anną Wójcik

» STR. 16

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	03
NA SKRÓTY	04
ART.eria	06
HRABALOWISKO	10
SKT NAJANA	11
OD Tłenu DO TłENU	12
MARTWA NATURA W FOTOGRAFII	15
ANNA WÓJCİK	16
TEATRALNI RECYDYWIŚCI	18
CZYTAJI	20
ODCZYTANI – PIOTR KRAS	26
W KADRZE	35
MONODRAMY	37
TADEUSZ GIERYMSKI	40
MAŁE HAUTE COUTURE	42
CZĘSTOCHOWSKIE POŻEGNANIA	45
MARCIN KRÓL - ROZMOWA	47
POEZJA – RAFAŁ KWASEK	55
INWAZJA Z KOSMOSU	60
BEDU – ROZMOWA	62
MARIAN PANEK – BIAŁA LOKOMOTYWA	65

ALEJE3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane Przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca

Biblioteka Publiczna im. dr. Wł. Biegańskiego w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22, 42-200 Częstochowa
tel. (34) 360-56-28, www.biblioteka.czest.pl

Redakcja

Al. Najświętszej Maryi Panny 22, 42-200 Częstochowa
tel. (34) 360-56-28, aleje3@op.pl

Redaktor Naczelny

Agnieszka Batorek, tel. 691 567 962, a.batorek@interia.pl

Opracowanie graficzne:

Tomasz Korzeniowski

Współpraca: Julia Liszewska, Dominika Radkowska, Anna Biernacka,
Justyna Matras, Ilona Kowalska, Marian Panek, Adam Florczyk,
Zbysław Janikowski, Maciej Batorek, Rafał Salamucha, Jerzy Zimny,
Janusz Mielczarek, Roman Szenk.

Zdjęcia: Paulina Dziubińska, Piotr Dłubak, Piotr Kras,

Tomasz Kosiński.

Skład i łamanie:

Adam Markowski

Druk i oprawa

Sowa - druk na życzenie www.sowadruk.pl, tel. (22) 431-81-40

Nakład 400 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie
prawo do dokonywania skrótów, adiacji i redagowania nadsy-
łanych tekstów.

Okładka: Anna Wójcik

Od redakcji:

Jest jakiś pozytywny ferment w Częstochowie. Szerzy się Kulturoholizm, potwornie zaraźliwe uzależnienie rozprzestrzeniane po mieście przez Martę Frej i Tomka Kosińskiego. Nałogowi artyści zaczęli wychodzić z domów, pracowni, galerii i panoszą się na ulicach, w witrynach sklepowych, w tramwajach i innych, zupełnie nieprzystosowanych do właściwej percepcji sztuki, miejscach. Street art dla odmiany zaczął pchać się do galerii, usadowił się w ramach i oddaje się pod młotek na aukcjach sztuki. Za sprawą podejrzanego grupy dekonstruktorów słowa w kawiarniach i restauracjach ludzie czytają poezję zamiast zająć się konsumpcją, a nocą zamykają się w bibliotece i słuchają muzyki. Młodzi i zdolni zadomowili się też w Willi Generała i hałasują w dni powszednie i w niedzielę bez opamiętania, spotykają się, wystawiają, dyskutują o sztuce... Naprawdę trudno jednym tchem wymieniść, co tam się od pewnego czasu wyprawia, a o tym co się wyprawiać będzie w przyszłości aż strach pomyśleć. Ludzie skażeni kulturą, artyści, animatorzy, koneserzy sztuki przystąpili do ofensywy i zarażają swoją pasją, pomysłami, potrzebą działania i potrzebą uczestnictwa w życiu kulturalnym miasta.

Siła zamachowa, która uruchomiła ten proces, pchnęła tę ludzką maszynę do działania, to wypadkowa wewnętrznych potrzeb, fascynacji i chęci poszczególnych osób. Jest moc, jest przyspieszenie, myli się jednak ten, kto sądzi, że mamy do czynienia z jakimś swoistym perpetuum mobile. Do prawidłowego i długotrwałego funkcjonowania tej maszyny potrzebny jest feedback, uznanie, poczucie, że jej działanie jest potrzebne, pożądane. Potrzebuje też przestrzeni i pewnych nakładów finansowych. Co możemy otrzymać w zamian? Miasto, w którym nie można się nudzić, w którym codziennie coś się dzieje, w którym każdy znajdzie dla siebie coś interesującego. Miasto, które na zewnątrz przestanie być postrzegane wyłącznie przez pryzmat religijny czy polityczny. Atrakcyjne miejsce do życia, w którym nie tylko śpi się, pracuje i robi zakupy, ale w którym można coś przeżyć naprawdę, wzruszyć się, uśmiechnąć, zamyślić. Częstochowa zaroża się od młodych, kreatywnych ludzi, którym bardzo chce się coś robić, od obiecujących, utalentowanych artystów z fantastycznymi pomysłami. Wykorzystajmy ten potencjał jak najlepiej i chwalmy się nim jak najgłośniej. Nie pozwólmy im się znudzić, zniechęcić i wyjechać. Nasze miasto zasługuje na odrobinę pozytywnego, artystycznego szaleństwa. Wszelkie znaki na niebie, a przede wszystkim na ziemi wskazują, że dobrze się z nim czuje.

Redaktor Naczelna
Agnieszka Batorek

Tu można pytać o „Aleje3”: Café Belg (Al. Najświętszej Maryi Panny 32), Café Montmartre (Al. Najświętszej Maryi Panny 33), Księgarnia „Tania Książka” (ul. Focha 27/29), Carpe Diem Klub (Al. NMP Najświętszej Maryi Panny 29), Biblioteka Publiczna (Al. Najświętszej Maryi Panny 22).

ALEJAMI NA SKRÓTY



Jubileusz „Collegium Cantorum”

Już 25 lat jest z nami chór Collegium Cantorum, co uczcił 5 listopada koncertem w Hali Polonia, który zgromadził rzesze krewnych, przyjaciół i wielbicieli. Chór na co dzień kameralny, tym razem wystąpił w 40-osobowym składzie, powiększonym o głosy, które tworzyły go w przeszłości. Zaprezentował bardzo zróżnicowany repertuar, od klasyki aż po muzykę rozrywkową. Koncert poprzedził dokument filmowy prezentujący wieloletnią historię chóru.

Chór „Collegium Cantorum Czechochoviensis” stworzył w roku 1987 dyrygent Janusz Siadlak. Początkowo działał pod patronatem Wyższej Szkoły Pedagogicznej a następnie Politechniki Częstochowskiej jako Chór Akademicki Politechniki Częstochowskiej „Collegium Cantorum”. Obecnie tworzy go 16 muzyków, a formalną opiekę nad nim sprawuje częstochowski samorząd. Chór jest zdobywcą licznych nagród i wyróżnień na międzynarodowych konkursach i festiwalach m.in. na Festiwalu Canto Lodziensis, Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Cerkiewnej w Hajnówce, Turnieju Chórów „Legnica Cantat”, na festiwalu w Pekinie (Puchar „Złotej Perły”), na konkursach w Gorizii (Włochy), Cantonigros (Hiszpania), Mohylewie (Białoruś). **JM**



Nowe życie Willi Generala

A konkretnie tej jej części, w której rezyduje Centrum Promocji Młodych. Wraz z przyływem kadry Centrum zintensyfikowało swoje działania i właściwie nie ma tygodnia bez imprez w jego gościnnych progach. Począwszy od włączenia się w organizację imprez Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!” (wystawa Re:format i warsztaty Oli Cieślak) Centrum nie spoczywa na laurach – prezentuje zarówno lokalnych młodych twórców (Anna Wójcik), jak i przybyszów spoza Częstochowy (Egon Fietke) a z końcem listopada zainaugurowało również cykl „Wieczorów z harfą”... bez harfy. Propozycja niezwykle interesująca, bo w jej ramach udało się zmieścić i warsztaty Przychodni Poetyckiej Piotra Nity, i koncert Inqubatora (niestety bez towarzyszenia tytułowej harfy...), i performance Anki „Fugazi” Biernackiej, która uczestników wieczoru zaprosiła do świata swoich idoli. **JM**



Szymona Parafiniaka „Oblicza” w klubie muzycznym „Szpulka”

18 listopada w warszawskim klubie muzycznym „Szpulka” odbył się wernisaż wystawy znanego częstochowskiego artysty grafika Szymona Parafiniaka. Szymon od zawsze portretował ludzi sztuki, a przede wszystkim znakomitości polskiego i światowego jazzu. W „Szpulce” przedstawił kilkanaście grafik wykonanych w technice pigmentowych wydruków oraz ponad 50 plakatów swojego autorstwa o tematyce muzycznej. Powstała rozległa instalacja zintegrowana z filmem o artyście, zrealizowanym wspólnie przez operatora Szczepana Ociepę i autora tego znaczącego audiowizualnego projektu. To wystawiennicze wy-



for. Ewa Marchwinska

darzenie budował również koncert jazzowy zespołu Macieja Obary. Sam wernisaż był także interesującym spotkaniem towarzyskim. Przybyło wielu VIPów i celebrytów, znaczących postaci ze świata sztuki. Otwarcie wystawy zaszczycili m.in.: Kama Zboralska (autorka i wydawca „Kompasu Sztuki” dla Rzeczypospolitej oraz „Przewodnika po Galeriach”), Janusz Miliśkiewicz, Małgorzata Czyńska (krytycy sztuki), Wojciech Tuleja znany warszawski galernik, świetni i wybitni malarze: Edward Dwurnik i Mikołaj Kasprzyk. Byli też goście z Częstochowy: Janusz Oskar Knorowski z ASP Warszawie oraz Jacek Łydzba z AJD. Gwiazdą wieczoru oprócz Szymona Parafiniaka była zaprzyjaźniona z artystą znana aktorka filmowa i teatralna Katarzyna Figura, której portret obecnie twórca realizuje na specjalne zamówienie jednego z zagranicznych producentów filmowych. **Marian Panek**



Street Art w ramach

Tak nazwała swój projekt wystawienniczy Julia Panek kurator tego artystycznego przedsięwzięcia, które zogniskowało kilkunastu młodych artystów, wielu ich przyjaciół, znajo-

mych, również kilku sponsorów oraz medialnych komentatorów ważnych wydarzeń w kulturze miasta. Okazało się, że wszyscy byli zainteresowani sztuką najnowszą, a konkretniej - sztuką ulicy. Julia zaprosiła do współpracy przede wszystkim ludzi, z którymi już wcześniej współpracowała. Swoje prace zaprezentowali: Ula Chodrowska, Robert Jabłoński, Cezary Łopaciński, Monstfur, czyli Łukasz Gawron i Bartek Stypka, Panas Tadas, Adam Żurawiecki oraz aktorka projektu. 18 listopada w gościnnych przestrzeniach pubu „Rue de Foch” Państwa Marzeny i Włodka Serwów o godz. 17:00 rozpoczął się wernisaż, który zgromadził liczną widownię. Widownię bardzo zróżnicowaną - od znawców sztuki, bywalców wernisaży, kolekcjonerów, po przypadkowe osoby. Pokoleniowo było też różnorodnie od maluchów i ich rodziców, po studentów nstytutu Plastyki Akademii im. Jana Długosza czy Studium Sztuki Sakralnej Instytutu Teologicz-

nego w Częstochowie. Byli też zaproszeni goście specjalni z Krakowa, Poznania i innych miast.

Wystawa połączona ze sprzedażą aukcyjną prac i prezentacją zasobów butiku „Portobello” z Krakowa była bez wątpienia imprezą integracyjną w pełnym tego słowa znaczeniu. Sztuka ulicy bezkompromisowa, atakująca, prowokująca do myślenia nieoczekiwanie zbliżyła do siebie wielu ludzi o odmiennych kulturalnych czy intelektualno-duchowych preferencjach. Siła przekazu tych wyobrażeń plastycznych, czasem kontrowersyjnych, adresowanych właściwie do wszystkich (część z nich pojawiła się wcześniej na ulicach naszego miasta), jest znacząca i rozumiana w oka mgnieniu przez wielu, zwłaszcza młodych, ludzi. Sztuka ta pojawiając się teraz w pewnym sensie otwartej dla wszystkich niezobowiązującej przestrzeni galeryjnej „Rue de Foch”, została nobilitowana powtórnie również jako zbiór istotnych cy-

tatów dawnych estetyk wziętych z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych (grupa Monstfur) przekształconych szablonowo do innej medialnej rzeczywistości drugiej dekady XXI wieku.

Aukcję prowadził z dużym poczuciem humoru i z werwą Roland Ciesielski Familiman. Wylicytowano i zakupiono również poza aukcją kilka prac (ponad 25% z dwudziestu czterech zaprezentowanych). Później wieczór przekształcił się w gorące spotkanie towarzyskie, które muzycznie uświetnił Dj Alberd. Była to pierwsza streetartowa wystawa i aukcja prac częstochowskich młodych artystów na częstochowskim gruncie. Następne propozycje związane ze sztuką ulicy będą bez wątpienia jak ta w polu zainteresowania wielu osób. Street Art wykorzystuje się na różne sposoby, sztuka ta stała się już w pewnym sensie modna i jest ikoną naszej współczesności.

Marian Panek



for. Piotr Was



„Orzeł czerwony” Tomasza Musiała w witrynie Cafe Milano

SZTUKA W WITRYNACH ODBITA

Adam Florczyk

zdjęcia: Piotr Kras

III ALEJA NMP CZEKA NA SWOJEGO DOBREGO DUCHA. TAKIEGO, KTÓRY ZADOMOWIŁBY SIĘ TU NA STAŁE, ZBUDOWAŁ KLIMAT MIEJSCA I WYKORZYSTAŁ JEGO POTENCJAŁ. ODSWIEŻENIE NASKÓRKA (NAWIERZCHNI, ELEWACJI KAMIENIC) BYŁO KONIECZNYM ETAPEM REWITALIZACJI ALEI, W ŻADNYM WYPADKU NIE JEST JEDNAK FINALNYM. TERAZ TRZEBA NOWE DEKORACJE WŁAŚCIWIE WYKORZYSTAĆ. NA SZCZĘŚCIE OD CZASU DO CZASU POJAWIAJĄ SIĘ INICJATYWY, KTÓRE PRÓBUJĄ W TEN REJON SKIEROWAĆ GŁÓWNY NURT MIEJSKIEGO ŻYCIA. WE WRZEŚNIU BYŁA TO „ART.ERIA - PIERWSZY STRZAŁ”, CZYLI SKOMASOWANY ATAK ARTYSTÓW NA PRZESTRZEŃ MIEJSKĄ.

ART

eria to pomysł dwójki animatorów kultury, artystów: Marty Frej i Tomka Kosińskiego, działających pod szyldem „Kulturoholizmu”. Dali się oni już poznać częstochowianom podczas tegorocznej Nocy Kulturalnej, gdy jeździli po mieście zabytkowym tramwajem, przemienionym w galerię sztuki współczesnej. ART.eria jest niejako przedłużeniem tego pomysłu, by w widowiskowy sposób wkomponować twórczość najnowszą w tkankę miasta. Konfrontować niczego nie spodziewających się spacerowiczów z ekspozycjami, które zazwyczaj pozamykane są w galeriach.

Tym razem wypadło na sklepowe i restauracyjne witryny. Wynalazek stricte komercyjny, który ma kusić przechodniów do odwiedzania sklepów i robienia zakupów. Frej i Kosiński postanowili przewartościować te miejsca, umieszczając tam nienakierowane na zysk, estetyczne komunikaty. By zaś przedsięwzięcie miało odpowiedni rozmach zaprosili do niego zaprzyjaźnionych artystów z Częstochowy i innych miast, bardzo nawet odległych. 10 września w

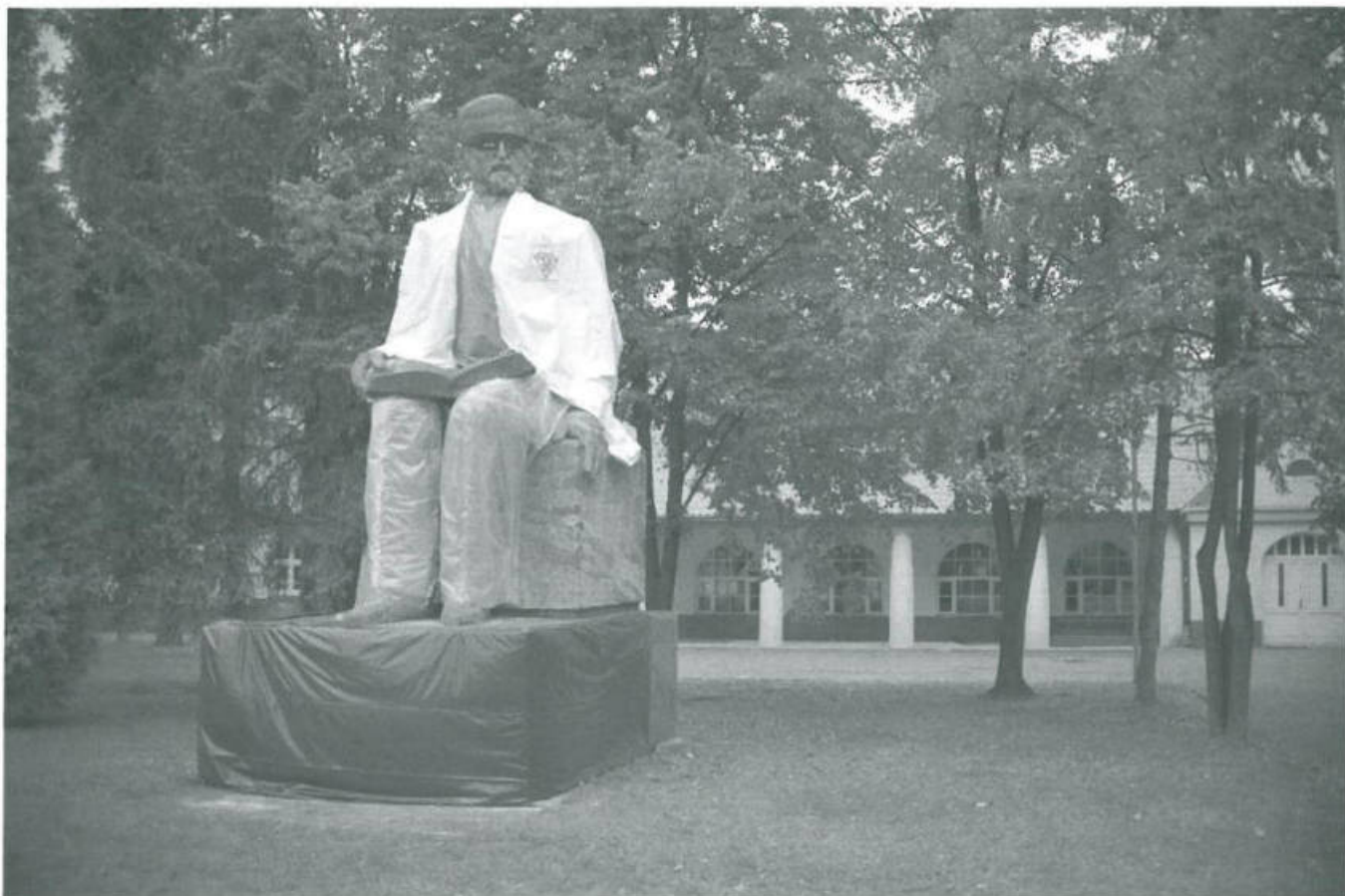
III Aleję ruszyło prawie czterdziestu artystów.

Na początek z balkonu Popówki witał przechodniów „Kapitan Kultura – częstochowski czuwacz nadkulturalny, obrońca i propagator myśli wyzwolonych” Adama Markowskiego, budujący już na starcie odpowiedni kontekst całego przedsięwzięcia. Dalej w witrynach zagnieździło się malarstwo: Bartosza Frączka, Tomasza Musiała, Anny Wójcik, Marty Frej. Obecność obrazów w tak niecodziennych miejscach z jednej strony zaskakiwała. Czy to nagle obrodziło nam w centrum miasta galeriami sztuki? Doszło do jakiegoś masowego przebranzowienia? Z drugiej niosła jednak refleksję, że powinno tak być na co dzień. Kto wie, może takie akcje, przekonają właścicieli lokali, że warto postawić na dobrą sztukę jako formę promocji.

Oczywiście artyści nie ograniczali się do działań malarskich. Robert Szkiel grając na sentymencie do formuły fotoplastykonu przygotował fotograficzną instalację „Stopklatka”, Agnieszka Sobczyńska pokazała projekty swoich znaczków, a Adam Kruszyński zaprezentował rzeźby

„BAsen” Szymona Motyla w III Alei





„Super Henryk”

Anna Wójcik, Sławomir Kuśmierz

ze szkła. Natomiast wielki ekran w Miejskim Centrum Informacji cały dzień wyświetlał zapętlone filmy: „Ein kunstler aus Polen ein gutes produkt” Bartka Jarmolińskiego, „Whipping. Eagle II” Tomasza Musiała, „Mgła, Śnieg, Gadające głowy, Babie lato” Artura Trojanowskiego oraz zdjęcia Egon Fietke z cyklu „Kultura Polska”.

Jednak moje osobista „pierwsza trójka” witrynowych działań to instalacje Demko, Poczętej i akcja Jarmolińskiego. Paulina Poczęta w ramach projektu „La Dolce Vita” oszczędnymi środkami przekonywała, że „brudy pierze się w domu”. Rodzina wszyta w poduszki, koronki, wyszywanki. Proste środki, ale praca działająca na wyobraźnię. Bartek Jamroziński natomiast próbował rozpuścić się w witrzynowej rzeczywistości. Jego zdjęcia z powodzeniem podszywały się pod profesjonalne reklamy, on sam przekonująco wypadł w roli sklepowego manekina. Trzeba było jednak na chwilę przystanąć, wykazać się wnikliwością, by dostrzec, że pewne szczegóły umykają konwencji. Artysta kontrastując obuwie z resztą ubioru prowokuje pytania o tożsa-

mość, a hasło „Twoje buty świadczą o tym kim jesteś” to nie tylko reklamowy slogan. I w końcu Iwona Demko pokazująca Jej Największy Klejnot. Wyeksponowany jak najlepszy egzotyczny towar delikatesowy za czasów PRL. Instalacja intrygowała tajemnicą, a później powalała mocnym, kobiecym przekazem.

Oczywiście artystom nie wystarczyły działania w witrynach i wylali się ze swoją twórczością także na ulice. Szymon Motyl rozwiesił między drzewami swój BAsen, pozwalając podglądać pływaków od dołu, z poziomu dna. Anka „Fugazi” Biernacka w prostym działaniu z piaskiem i wodą dokonywała cudu przemiany starego w nowe. Natomiast Teatr Wojciecha Kołsuta świętował dwudziestolecie istnienia. Z tej okazji wcielił swego założyciela w postać wędrującego pomnika i ruszył w miasto tańcząc, hałasując i zionąc ogniem. Marta Frej przygotowała kolorowe miednice z wodą dla strudzonych pielgrzymów, w ramach projektu „Ulga”. Anna Wójcik i Sławek Kuśmierz przemienili szacownego Henryka Sienkiewicza w superbohatera, który nie boi się odważnych

kolorów. Monstfur tradycyjnie zaczął nanosić swoje szablony na jakąś wolną ścianę. Wreszcie Grzegorz Piotrowski przyprowadził pielgrzymów. A dokładnie ich buty. Zbierając obuwie od mieszkańców swojej wioski, zabrał ich w ten sposób w symboliczną pielgrzymkę na Jasną Górę. Choć na sam klasztor nie dotarli, instalacja z butów stanęła u zwieńczenia III Alei. ART.erię zamknęli muzycy z Ace of Space, grając po zapadnięciu zmroku na balkonie Popówki.

Warto tu podkreślić programowo bezbudżetowy charakter całej imprezy. Artyści biorący w niej udział, czynili to bez honorariów, zwrotów kosztów, wykładając swoje fundusze na realizację projektów. Podobnie użyczenie witryn miało miejsce jedynie dzięki uprzejmości właścicieli sklepów i restauracji. I trzeba przyznać, że takie oddolne inicjatywy wracają wiarę w pierwotną siłę kultury. Miło się przekonać, że od czasu do czasu, udaje się zorganizować coś artystycznie wartościowego, bez sterty wypełnionych formularzy i budżetu na zarządzenie projektem. Opierając się przede wszystkim na zapale, ener-

gii i przychylności ludzi, stęsknionym za tym, by Częstochowa kojarzyła się z dobrą kulturą.

Oczywiście brak budżetu niósł za sobą pewne ograniczenia. Bo to czego zabrakło ART.eri to promocja z dużym rozmachem, czyli kwestia wymagająca już większych środków finansowych. Organizatorom udało się co prawda uruchomić media lokalne, narobić internetowego szumu, w efekcie jednak okazało się to działaniem niewystarczającym. III Aleja to duża przestrzeń i prace po prostu w niej znikają. Te, które atakowały przechodniów, jak Super Sienkiewicz, latający BAsen, czy bardzo głośny teatr Wojtka Kołsuta, były zauważalne. Lecz pozostałe niestety często mijane były bez recepcji, że oto tu właśnie teraz dzieje się sztuka. Podczas trwania imprezy, aż się chciało, żeby to wszystko lepiej opisać. W dniu imprezy zakleić plakatami całe centrum, przygotować stojaki ze strzałkami: „w witrynie takiej to a takiej, praca tego to a tego”. Wskazać pewien kierunek zwiedzania. Tego zabrakło, by na większą skalę wciągnąć w artystyczną grę, często-

chowian, którzy zazwyczaj nie interesują się kulturą.

To wyzwanie, które stoi przed ewentualną drugą edycją ART.erii. Mam nadzieję, że Kulturoholicy w przyszłym roku je podejmą. Nie tylko spróbują powtórzyć desant sztuki współczesnej na III Aleję, ale znajdą również środki finansowe, pozwalające zrobić to z odpowiednim rozmachem. By wszyscy poczuli klimat artystycznego karnawału i żaden przechodzień nie mógł pozostać obojętnym wobec tego co się wokół niego dzieje. Pierwsza odsłona ART.erii pokazała również, że jest jeszcze dużo miejsca na sztukę w centrum Częstochowy. Sama III Aleja jest w stanie przyjąć jeszcze dwa, lub trzy razy więcej artystów. I jeszcze nie byłoby ciasno. Kibicuję zatem Marcie Frej i Tomkowi Kosińskiemu, by w przyszłym roku udało się namówić do uczestnictwa, stu, stu-pięćdziesięciu, dwustu artystów. Liczę, że będzie to artystyczny karnawał pełną gębą. Jeszcze mocniejszy, jeszcze głośniejszy, jeszcze bardziej odmiennający miasto.



Akcja Piotra Kumora

JANUSZA MIELCZARKA PATERA DOJRZAŁYCH OWOCÓW

Roman Szenk

Tego nie można ani „pochłonać”, ani przeczytać tzw. „jednym tchem”. Książka, której zawartość Autor określa, moim zdaniem przesadnie skromnie, jako opowiadania, to w istocie zbiór esejów, szkiców, czasem wręcz rozprawek psychofilozoficznych, na pozór proszących się o literackie rozwinięcie. Jednak to złuda, przesąd, „światło ćmiące”, jak by o tym pomyśle napisał poeta-wieszcz. Każdy z tych utworów jest bowiem sam w sobie perełką Małej Literatury, właśnie przez skrót, niedopowiedzenia, aluzje. Jest to, może trochę perfidny, ale literacko skuteczny sposób skoncentrowania uwagi Czytelnika na wizerunkach psychicznych bohaterów i ich życiowych uwarunkowaniach spełniających się wśród oszczędnie, ale zawsze trafnie dobranych scenerii.

Jest to zarazem otwarcie pola o nieograniczonej pojemności dla

osobistych refleksji Czytelnika na temat drogi już przeżytej, właśnie pokonywanej i tej jaka jeszcze przed nami. Ta proza nie konstatuje, nie odpowiada na pytania, nie rozwiewa wątpliwości. Ona pytania zadaje, zmusza czytelnika do ocen, czasem formowanych w nastroju platońskiego poszukiwania świata doskonałych idei, ale częściej w egzystencjalnym poczuciu lęku.

Jestem tak głęboko i pozytywnie poruszony tą lekturą, że szukam – i znajduję – w jej urozmaiconych zawartościach skojarzeń, a czasem nawiązań do przesłań mistrzów tej klasy, co Marek Hłasko, czy tegoroczny laureat „Nike”, Marian Pilot, a z literatury obcej choćby Gabriel Garcia Marquez, Jarosław Haszke i oczywiście ojciec duchowy tomiku, Bohumil Hrabal. Zarazem znaleźć tu można inspiracje mające swe źródła w najmłodszej literaturze polskiej. Mam na myśli „Ulotne obiekty ataku” Krzysztofa Siwczyka, „Kieszonkowy atlas kobiet” Sylwii Chutnik, m.in. „Fototapetę” i „Opowiadania” Michała Witkowskiego, a także wątpliwości Doroty Masłowskiej wyrażone w dresiarzkiej „Wojnie polsko-ruskiej...”

Przywołuję akurat te właśnie nazwiska, gdyż moim zdaniem akurat ci autorzy spełniają wszystkie kryteria krótkich form literatury współczesnej, nowoczesnej, realizującej się w twórczości kolejnych autorów od pierwszych dekad XX. stulecia do dziś.

Nie sposób w tej próbie oceny i - nie ukrywam - rekomendacji „Hrabalowiska” pominąć specyficznej konstrukcji fabularnej, która w każdym segmencie zbioru odkrywa osobiste zaangażowanie Autora w relacje sytuacyjne, charakterystyki bohaterów, analizę ich motywacji, limitowanych niezależnymi, obiektywnymi uwarunkowaniami: terror okupacyjny, specyfika, też zabarwionej terrorem - Polski „socjalistycznej”, a na tym tle dzieciństwo, żydostwo, głód, ale także miłość, przyjaźń i tęsknoty.

I te klimaty! Łąki, wody, ogrody, młyny i drogi, niegdyś kwitnące, dziś rzadko odwiedzane, najczęściej przez ludzi samotnych, ale także przez pary szukające w samotności zagubionych związków osobistych, lub spełnień twórczych. I zupełnie odmienne klimaty niegdyśjszej Czechosłowacji, jej małych miasteczek i wszechobecnych szynków piwnych, w których autor, przy chętniej pomocy braci znad Wełtawy, szuka śladów swego idola i patrona – Bohumila Hrabala.

Integralnymi elementami całości literackiej są ilustracje i opracowanie graficzne, świetnie komponujące się z tą nowoczesną prozą, a na okładce i w partiach hrabalowskich świadomie nawiązujące do poetyki rysunków Jozefa Lady, legendarnego już ilustratora pierwszych (także polskich) wydań „Przygód dobrego wojaka Szwejka”, wojennego ukoronowania bogatej twórczości m.in. małych form literackich. Jarosława Haška.

Po wcześniejszych, licznych nagrodach w konkursach literackich i zbiorze „Zanim wyrzucą cię z samolotu” (1986) – „Hrabalowisko” można porównać do paterki dojrzałych owoców podanej nam przez Janusza Mielczarkę. To jest propozycja literacka dla Ludzi Myślących!

Janusz Mielczarek „Hrabalowisko i inne opowiadania”.

Opracowanie graficzne i ilustracje: Jacek Pałucha i Arkadiusz Zając.
Wydawca i druk: NEW FINE GRAIN, Kielce, Rok 2011.



POCAŁUJCIE NAS WSZYSTKICH W D...

z Jakubem Jurą rozmawia Julia Liszewska

Na pierwszy spektakl wybrali „Kota w butach” Jana Brzechwy, a sezon czwarty skończyli dość kontrowersyjnymi tekstami Skamandrytów, czyli brawurowo zagranym spektaklem „Pocałujcie mnie wszyscy...”. Akademicki teatr „NaJana” zakończył z przytupem czwarty rok działalności i rozpoczął piąty. Rozmawiam z jego współzałożycielem, Jakubem Jurą.

Jesteś szefem Studenckiego Koła Teatralnego „NaJana”...

Właściwie to teatrem kierują dwie osoby, które ponad 4 lata temu go założyły: ja i Iwona Jurczyk. Ja zajmuję się częścią artystyczną, Iwona ogarnia stronę „papierkową”, w których, muszę przyznać, się gubię. Zajmuje się też promocją i kontaktami z mediami.

Zaczęliście lekko, bajeczką dla dzieci, a wasz ostatni spektakl jest, muszę przyznać, dość odważny...

Jakub: Stwierdziliśmy, że bajka będzie dobra na początek, na rozegranie się, odnalezienie się na scenie. Nie jesteśmy przecież aktorami zawodowymi. Generalnie w każdym sezonie staramy się dać dwie lub trzy premiery w tym: bajkę i spektakl poetycki. Raz zdecydowaliśmy się na pełną sztukę wieloobscadową „Kaleka z Inishmann” Martina McDonahga. Muszę przyznać, że to był sukces (nominacje dla najlepszego spektaklu i za najlepszą rolę męską na Przegłądzie Teatrów Studenckich w Rzeszowie w 2009 roku), ale wymagało to od nas naprawdę dużo pracy. Robimy dużo spektakli poetyckich, angażujemy się też w lokalne życie kulturalne, organizujemy jasełka, performanse, bierzemy udział w akcjach kulturalnych. Staramy się też „wywozić” nasz teatr dalej. W tym roku byliśmy w Wilnie na XII Międzynarodowym Forum Teatrów Studenckich, gdzie nasz eksperymentalny spektakl „Chór trojański” został bardzo ciepło przyjęty.

Spektakle poetyckie... Do tej pory były one dość „grzeczne” - Herbert, Poświatowska, ale w tym roku zabrałeś się za Skamandrytów...

Tak. I odtworzyliśmy ich twórczość bardzo wiernie. Nie wyrzuciliśmy na przykład, ani jednej zwrotki z kontrowersyjnego wiersza Tuwima „Całujcie mnie wszyscy w dupę”. Poszedł w całości. Stwierdziliśmy (łącznie z gronem naszych opiekunów na uczelni), że skandalu większego niż uczynili Skamandryci nie będzie. (Śmiech)

W spektaklu staraliście się też odtworzyć atmosferę tamtych czasów, akcja dzieje się w zatłoczonej kawiarni...

Pełnej panienek, pijaków, nieudaczników, poetów i artystów. Chcieliśmy, żeby było jak w warszawskiej „Ziemiańskiej” na początku XX wieku.

Udało się wam. Nawet barman jest bardzo wiarygodny, mimo że nic nie mówi...

Jakub: Postawiliśmy też duży nacisk na kostiumy „z epoki”. To plus genialne wiersze Skamandrytów w interpretacji moich aktorów okazało się trafionym pomysłem.

Oprócz przygotowywania spektakli, grupa „NaJana” zajmuje się, z powodzeniem, czytaniem dramatów współczesnych...

Tak. „Spotkania z dramatem” pomyślane jako kontynuowanie podobnej akcji sprzed kilku lat organizowanej w nieistniejącym już Klubie Utopia, trwają już trzeci rok. Raz w miesiącu aktorzy „NaJana” czytają wybrany dramat współczesny, polski lub obcy, a potem dyskutują o nim z publicznością. Odzew jest zaskakująco duży.

Niedawno ogłosiliście casting do waszego teatru, macie jakieś ciekawe „nabytki”?

Nasz teatr dzieli się teraz na dwie podgrupy: „świeżacy”, czyli nowo nabyli adepci, zaczynający przygodę z aktorstwem i grupa starsza, czyli „najanowcy weterani”. Ta starsza grupa zajmuje się opieką nad „świeżakami”, wprowadza ich powoli w teatr, przygotowuje warsztaty. No i nowe przedstawienia.

Nie mogę nie zapytać Cię o plany...

W tym roku przygotowujemy, zamiast bajki, jasełka dla dzieci. Bajki nie będzie, bo skupiamy się na większym projekcie. Będzie to satyra erotyczna, 4-osobowa: „Psychoterapolietyka” Dominika Rettinger - Wieczorkowskiego. Czytaliśmy ją na jednym z wieczorów z dramatem. Zagrają sprawdzeni aktorzy: Iwona Jurczyk, Dorota Nieckarz, Michał Hupa, no i ja (śmiech). Próby trwają. Premiera planowana jest na wiosnę.

Powodzenia. I dziękuję za rozmowę.

OD „Tlenu” DO TLENU

z Julią Liszewską rozmawia Justyna Matras

zdjęcia: Paulina Dziubińska

ZNAMY JĄ GŁÓWNIIE JAKO PASJONATKĘ TEATRU Z POZYCJI WIDZA, AUTORKĘ RECENZJI TEATRALNYCH, CZĘSTO OSTRYCH I ZAWSZE ROZBRAJAJĄCO SZCZERYCH, UWAŻNĄ OBSERWATORKĘ I KOMENTATORKĘ LOKALNEJ SCENY TEATRALNEJ. W TYM ROKU PORWAŁA SIĘ NA REALIZACJĘ WŁASNEGO SPEKTAKLU, BAZUJĄC NA DOSYĆ TRUDNYM TEKŚCIE IWANA WYRYPAJEWA I PARZE AKTORÓW-AMATORÓW. WSZYSTKIM, KTÓRZY MYŚLELI, ŻE KAŚLIWA OSA POŁAMIE SOBIE ŻĄDŁO W BEZPOŚREDNIM STARCIU Z TEATREM, PO RAZ KOLEJNY UTARŁA NOSA. NARODZIŁ SIĘ DOBRY SPEKTAKL I OBIECUJĄCY TEATR NIEZALEŻNY. O „Tlenie” I TLENIEM ROZMAWIAM Z REŻYSERKĄ, JULIĄ LISZEWSKĄ.

Co skłoniło krytyka teatralnego do przejścia na tę „drugą stronę”?

Mogłabym powiedzieć, że skłoniła mnie chęć twórczych eksploracji lub podobna bzdura, ale tak naprawdę to skłonił mnie do tego Daniel Śliwakowski, który w grudniu ubiegłego roku przyszedł do Cafe Belg, gdzie stałam za barem i zapytał, czy chciałabym zrobić z nim spektakl. Wiedział, że jestem teatrologiem i recenzentem (do krytyka to jeszcze mi trochę brakuje), więc jakies tam przygotowanie mam. Na studiach miałam 6 semestrów reżyserii teatralnej, robiliśmy Słowackiego, Szekspira, Becketta, więc stwierdziłam, że spróbuję. I tak się zaczęło.

„Tlen” - wiem, że nie widziałas wcześniej kinowej wersji Wyrypajewa, więc musiał zachwycić Cię tekst, sam w sobie dosyć trudny.

Co Cię w nim tak bardzo porwało?

Chyba nie zna się tekstu żadnego dramatu, dopóki się w niego nie „wejdzie”, nie przewróci na lewą stronę, nie zje i nie wyrzyga. Zaczynając pracę nad „Tlenem”, nie miałam pojęcia, jaki to trudny materiał. Myślałam, że ot taka banalna historyjka o miłości we współczesnym świecie. A figę. Pracowaliśmy nad tym tekstem wspólnie z moimi aktorami, Danielem i Olą, prawie pół roku, a prześwietlając go, przy okazji siebie prześwietliliśmy na wylot, mierząc się z nim i z własnymi słabościami. To szumnie brzmi, ale weszliśmy w ten tekst całkowicie. Pochłaniał nas przez ten czas, odrywał od rzeczywistości, niszczył i stwarzał na nowo. I tak powstał ten spektakl. A co mnie porwało? Niejednoznaczność, brak czarno-białej rzeczywistości, drugie dno kryjące się pod każdą sceną napisaną przez Wyrypajewa. No i oczywiście sam temat.

To było duże wyzwanie, zwłaszcza przy debiucie. Czy z perspektywy czasu jesteś zadowolona ze swojej pierwszej realizacji?

Dosyć.

Wybrałaś do współpracy Aleksandrę Florczyk i Daniela Śliwakowskiego. To nie były przypadkowe osoby, aktorzy amatorzy, ale z pewnym doświadczeniem scenicznym. Nie bałaś się, że nie udźwigną materiału? Jak się Wam razem pracowało?



Jak już mówiłam, łatwo nie było. Daniel studiował wówczas w Studium Aktorskim w Katowicach, liczył trochę teatru wcześniej, zrobił parę przedstawień. Ola będąc nastolatką grała u Hanuszkiewicza. Jednak, żeby wystawić Wyrpajewę, musieliśmy zacząć od zera. Próbowaliśmy znaleźć dla niego jakiś język, kod sceniczny, jakiś haczyk, który zacieka widza. Od efektów ważniejsze okazało się jednak słowo. W sumie na tym najbardziej mi w teatrze zależy. Na słowie. I aktorze je wypowiadającym. Scenografia, muzyka, kostium – zawsze będą tylko dodatkiem. I to się sprawdziło przy „Tlenie”, sprawdzili się moi aktorzy.

Czy przygotowując pierwszy spektakl myślałaś już poważnie o założeniu niezależnej grupy teatralnej?

Zawsze marzyłam o założeniu własnego teatru, ale nie miałam odwagi. Ani motywacji. Takim zapalnikiem okazał się chyba jednak Daniel, on mnie namówił do zrobienia spektaklu, a założenie teatru był już tylko logicznym ciągiem dalszym.

Myślisz o stworzeniu zespołu, który będzie stale ze sobą współpracował, czy traktujesz każdy spektakl jako osobny projekt?

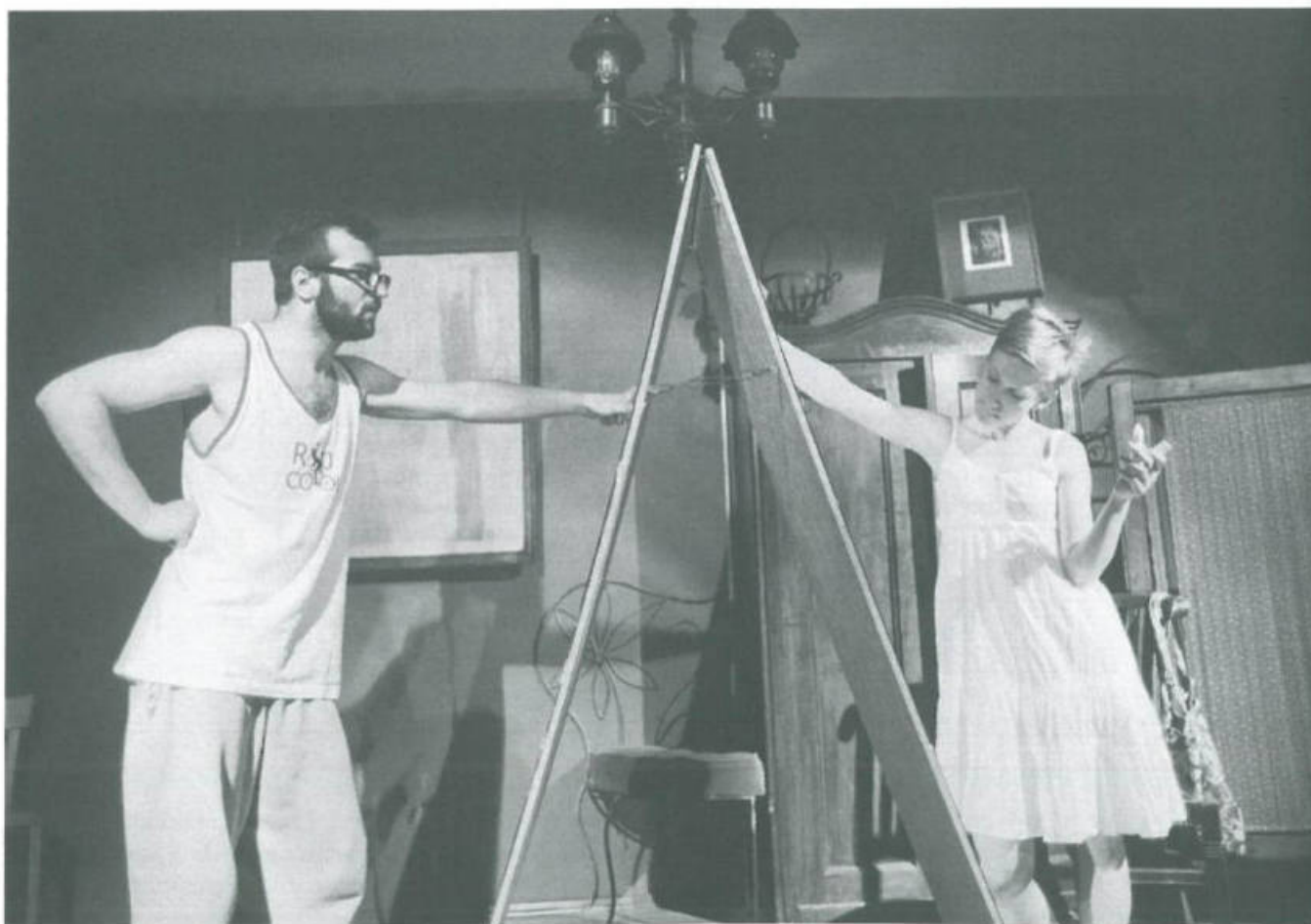
Chciałabym mieć oczywiście stały zespół, budynek ze sceną i całą maszyną, oświetleniowcem, dźwiękowcem i suflerem (śmiej), ale póki co, nie jestem Jandą. Obecnie Teatr Niezależny TLEN współpracuje z kilkunastoma osobami i kilkoma instytucjami w Częstochowie. Siedziba znajduje się w Belgu, współpracujemy też z Carpe Diem (gdzie odbyła się pierwsza premiera), firmą Tereferę, muzykami i klubami z Częstochowy. Próby do nowego spektaklu odbywały się w Belgu, Czarnym Kocie, ale potrzebowaliśmy więcej miejsca, więc teraz odbywają się w dużej sali pięknie wyremontowanej Willi Generała, gdzie znajduje się Centrum Promocji Młodych. Działamy dzięki pomocy

i życzliwości wielu osób, to uskrzydla – znowu banalnie. (śmiej)

Właśnie, Teatr Niezależny TLEN pracuje nad kolejnym spektaklem. Możesz opowiedzieć o nim coś więcej?

W nowym projekcie bierze udział siedem osób, mniej lub bardziej doświadczonych aktorsko. Zostali ze mną Aleksandra Florczyk i Daniel Śliwakowski. Dołączyli: Anka Fugazi (znana performerka), Szymon Motyl (artysta plastyk), Konrad Chęciński, Natalia Wolska i Joanna Kapkowska. Próby trwają od sierpnia, więc ten spektakl nie jest już taką tajemnicą jaką był „Tlen”. Wystawimy dwuczęściową sztukę opartą o „teksty dla teatru” Elfriede Jelinek. Jako, że muzykę do „Tlenu” skomponował znany duet Ace of Space, postanowiłam utrzymać ten wysoki poziom i do współpracy zaprosiłam częstochowski zespół Krzyż:Kross. Myślę, że to będzie mocne uderzenie.

Dziękuję za rozmowę.



SALON PO RAZ PIĄTY



fol. Paul Martin, Francja, Shadow, Złoty Medal FIAP

Zaczynając w roku 2003 moją przygodę z Salonem „Martwej natury w fotografii”, byłem pełen niepewności o losy tego przedsięwzięcia. Było wprawdzie poparcie Prezydenta Miasta Częstochowy i dyrektora Miejskiej Galerii Sztuki, ale katalog pierwszej imprezy powstał na kredyt, dzięki uprzejmości znajomego szefa drukarni. Tegoroczna, piąta już edycja imprezy – czwarta o charakterze międzynarodowym i pierwsza pod patronatem Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej – zgromadziła twórców z dwudziestu krajów.

Fotograficzna martwa natura, to boczny nurt fotografii zdominowanej dzisiaj przez reportaż, portret i wszechwładzę fotografii reklamowej. Ale to także fotografia bardzo osobista, wymagająca przemyśleń i solidności warsztatowej, posługująca się skrótem i poetyką metaforą.

Charles Sterling, znawca przedmiotu i wieloletni kustosz Muzeum Louvre w Paryżu, pisał: „Wiemy dziś, że jedyną rzeczą, jaką możemy odczytać w martwej naturze, jest życie, jakie nadaje jej artysta. Widzi on bowiem w rzeczach nieożywionych materiał do marzenia, do ewokacji krystalicznego spokoju i dramatycznego napięcia.” Słowa te niezwykle trafnie pokazują przestrzeń przyciągającą artystów do martwej natury, która później tak silnie wiąże ich z tą formą obrazowania.

Przez kolejne Salony przewinęło się wielu świetnych artystów z Polski i z zagranicy. Ich prace podziwiali nie

tylko częstochowianie, ale również mieszkańcy Rzeszowa, Kielc, Olsztyna i Poznania. Fotografie zaskakują i wywołują wiele emocji. Zwykle głównym wątkiem dyskusji jest zdziwienie, że można ujrzyć piękno w zwykłych, często pogardzanych przedmiotach.

Zagląając do statystyk zauważa się wzrost zainteresowania fotograficzną martwą naturą w środowiskach, gdzie gościła wystawa. Więcej, autorzy fotografii przybywają do nas na wernisaże Salonów z odległego Olsztyna, Rzeszowa, Sandomierza, Wrocławia, czy Białorusi i Czech, żeby zobaczyć jak to robią inni. Przeżywają także zaskoczenia rozmachem i wielkością ekspozycji. A trzeba z dumą zauważyć, że tak dobrych warunków ekspozycyjnych jak ma MGS w Częstochowie i z taką starannością, jak przygotowano Salon w tym roku, szukać można w Polsce.

Z przyjemnością zauważam zainteresowanie fotograficzną martwą naturą w środowisku częstochowskim. W tym roku jedną z głównych laureatek była Małgorzata Arciszewska z Częstochowy, która otrzymała Nagrodę Dyrektora MGS. Częstochowską bohaterką poprzednich czterech edycji Salonu była Małgorzata Kozakowska, która z fotografią martwej natury zetknęła się w czasie przygotowań do wystawy w roku 2003, w roku 2005 otrzymała dwa wyróżnienia, w roku 2007 drugą nagrodę, a w 2009 – Grand Prix.

Janusz Mielczarek

MALARSTWO NIESKOŃCZONE

z Anną Wójcik
rozmawia Adam Florczyk
zdjęcia: Tomasz Kosiński

Tvoja wystawa w Centrum Promocji Młodych odbywa się pod szyldem: „młoda, obiecująca, częstochowska sztuka”. Czy ciąży taka etykieta? Poprzeczka poszła teraz w górę. Trzeba będzie sprostać oczekiwaniom.

Jestem „szalona i mam swój świat” [w ten sposób artystka została przedstawiona podczas wernisazu wspomnianej wystawy – przyp. red.], czy w tym przypadku może coś mi ciążyć? Cieszy mnie nadzwyczaj ta etykieta, szczególnie określenie „młoda”. A tak całkiem poważnie, to zawsze staram się wysoko mierzyć i wiele sama od siebie wymagać. Co do hasła typu „młoda, obiecująca sztuka” jestem bardzo ostrożna. Czy Ty zdajesz sobie sprawę ile jest w tym kraju takich młodych, obiecujących? Z mojej strony sprawa jest prosta, jeżeli będą oczekiwania, zrobię wiele by im sprostać.

Centralnym punktem Twojej wystawy jest otwarty projekt malarcki w formie „nieskończonego” obrazu. Wciąż dokładasz do niego kolejne płótna, bawisz się w ich tawowanie. Czy nie za wcześnie trochę na własne magnum opus? Bo koncepcyjnie wygląda to na artystyczne wyzwanie na długie lata?

Z pewnością poświęcę jeszcze temu

projektowi sporo czasu i energii. Trudno mi jednak przesądzać, kiedy jest stosowny czas na magnum opus. A może zawsze jest za wcześnie, a jednocześnie zawsze za późno? Projekt „nieskończonego” obrazu jest dla mnie zapisem tego, co aktualnie się dzieje wokół mnie. Wielokrotnie jest zapisem ulotnej emocji. Być może faktycznie będę malować „nieskończenie”. Istotna jest tu forma, która pozwala mi jednocześnie na wiele, nie ogranicza mnie. Mam nadzieję, że kiedyś dojdzie do skutku sytuacja, w której widz będzie mógł ustalić kolejność poszczególnych elementów.

Kusząca perspektywa. Ja sam podczas wernisazu miałem ochotę poprzestawiać te elementy po swojemu. Powstrzymało mnie jednak poczucie, że to jest bardzo osobiste, intymne malarstwo. Taka graficzna forma dziennika. Te wszystkie urywki zdań, konkretne postacie. Sztuka to dla Ciebie forma pamiętnika czy raczej potrzeba ekshibicjonizmu?

Jestem przekonana, że malarstwo, sztuki plastyczne, sztuka sama w sobie, to pełnoprawny głos w dyskusji o świecie. Wydaje mi się jednak, że by móc mówić o innych, trzeba najpierw poznać siebie. Malarstwo to chyba jest mój sposób. Masz rację, że to intymne malarstwo, ale to chyba tak już jest z twórcami: piosenkarz śpiewa o swej nieszczęśliwej miłości, reżyser tworzy sztukę o sobie, malarz maluje siebie. Tak jak wspominałam wcześniej, jest to zapis sytuacji, zasłyszanych tekstów, można się pokusić o nazwanie to graficznym dziennikiem. Co do przedstawiania elementów, to rozmowa z Tobą utwierdza mnie w dążeniu do stworzenia okazji dla widza, by mógł sam decydować o układzie. Może to dać zaskakujące efekty.

Trzymam za słowo, że kiedyś zrealizujesz taki projekt. Natomiast jeśli „niedokończony” obraz jest pamiętnikiem, to masz chyba bardzo „kolorowe” życie. Wiem, że kolory to klucz do interpretacji twojego malarstwa, ale chłonę je emocjonalnie, subiektywnie i nie do końca potrafię je odszyfrować. Więc jak to jest z tą barwą u Ciebie? To tylko warsztatowa zabawa, czy faktycznie kryją się za nią dodatkowe sensy, historie?

Jeżeli chodzi o kolor to w moich obrazach, to z pewnością nie traktuję go „słownikowo”. Często stosuję kolor intuicyjnie, choć wielokrotnie staram się nadać barwie swoje własne znaczenie. Dla widza też pozostawiam przestrzeń własnego rozumienia. Mam pełną świadomość, że niezależnie od sensu, który sobie wymyślę, odbiorca i tak przefiltruje go przez własne doświadczenie. Nie oddzielałabym przy interpretacji koloru od formy, są całością. Barwa w moim przypadku, jest bardzo ważna, jednak jest elementem składowym, który pozwala wyostrzyć przekaz. Po wernisazu jedną z refleksji, jest to, że moje obrazy są bardzo oczywiste. Wiele osób, dodam, że kompletnie mi obcych, doskonale odczytały „co artysta miał na myśli”.

Można w Twojej twórczości wyłowić pewne elementy estetyki komiksu, dyskretne ukłony w stronę popu. Na ile jest to planowe i czy nie ciągnęło Cię nigdy do jakichś bardziej ciągłych narracyjnie form artystycznych? Może jakiś wielki mural w kształcie osobistego komiksu?

Jestem wychowana w kulturze pop, ma na mnie ogromny wpływ. Staram się wyciągnąć z niej to, co najlepsze. Nie mam jednak zwyczaju podążania za jakimiś tendencjami malarskim, czy też buntowania się przeciw nim. Jeżeli „modne” są kolorowe obrazy, nie uciekam nagle do palety, na której będą zaledwie trzy kolory, jedynie po to, by nie być posądzoną o pogoń za trendami. To, co tworzę, musi być zgodne z moim poczuciem estetyki i tyle. Moje obrazy na pewno przywodzą na myśl komiks, lecz, szczerze mówiąc, bardzo mało ich przeczytałam. Malarstwo nie ma granic, więc może być i komiksem. A komiks? Ma jakieś określone ramy? O, widzisz jak ja mało wiem o komiksie! A co do muralu, jestem w trakcie szukania ściany, która przyjmie mój mural, bo uwielbiam wielkie formaty.

Sprawiasz wrażenie osoby, która kocha malować, ale przy tym troszkę dusi się w tradycyjnej formule malarstwa. Twój wernisaz w CPM był wyjątkowo multidyscyplinarny: obrazy, zdjęcia, zabawna instalacja, animacje. Na tegoroczną noc kulturalna w ramach aTrakcji przygotowałaś razem ze Sławkiem Kuśmierzem świetną instalację z gadającymi głowami. W ramach ARTeri przemieniście Henryka Sienkiewicza w superbohatera. Czy to zapowiedź jakiejś dłuższej serii? Widzisz się na dłuższą metę w tego typu akcjach artystycznych? A może malarstwo zawsze będzie miało bezwzględny priorytet?

Malarstwo jest dla mnie podstawą, która mnie ukształtowała. Jest formą, która od razu pozwala mi na szybki zapis. Instalacje są działaniem, które planuję od początku do końca. Traktuję to jako dwie drogi. Chociaż muszę przyznać, że kuszą mnie bardzo działania w przestrzeni publicznej. Rozpiera mnie

energia, by wyjść na zewnątrz. Lubię reakcje ludzi, którzy przypadkiem spotykają „sztukę”. Akcja z pomnikiem Sienkiewicza była ciekawym doświadczeniem, dlatego dalej chcę w tym kierunku działać. Mam w głowie projekt dopracowany co do szczegółu związany z „ubieraniem” pomników. Jest pracochłonny i kosztowny, mam jednak nadzieję, że uda mi się go zrealizować w najbliższej przyszłości. Wszystkie akcje zewnętrzne potrzebują wiele czasu na przygotowanie, realizację itp. Malować mogę w każdej chwili dlatego szybko nie zrezygnuję z niego, bo potrzebuję wciąż coś kombinować i knuć. Co do wernisazu w CPM jest to miejsce, które daje wiele możliwości, sam plac przed budynkiem, sam budynek prowokują, by coś z nimi zrobić. Jest to doskonałe miejsce do wielu działań, które serdecznie wszystkim polecam.

Dziękuję bardzo za rozmowę i życząc nieskończonej przyjemności płynącej z malarstwa.

Za zdjęcie dziękujemy
Centrum Promocji Młodych.





„Do dna”, reż. André Hubner Ochodlo

TEATRALNI RECYDYWIŚCI CZĘSTOCHOWA CONTRA SOPOT

Julia Liszewska

zdjęcia: Piotr Dłubak

Reżyserzy teatralni lubią sobie upodobać jakiś teatr i tam najczęściej pracować. Lupa ma Stary Teatr w Krakowie i Polski we Wrocławiu, Klata lubi Wrocław i Bydgoszcz, Zadara Kraków i Gdańsk, Jarzyna zainstalował się w warszawskich Rozmaitościach. Teatr Mickiewicza w Częstochowie też ma takich dwóch „recydywistów”, którzy wracają do niego jak bumerangi. Jednym z nich jest Łukasz Wylęzałek, co nie dziwi, bo to „ziom” jest. W ciągu ostatnich kilku lat Wylęzałek „zrobił” u nas trzy sztuki. Dwie własnego autorstwa: „Nowonarodzonego” i „Alibi” oraz ostatnio „Polowanie na łosia” Walczaka.

Ale drugi „powracający” reżyser dojeżdża do nas aż z nad morza, z sopockiego Teatru „Atelier”. Widocznie znalazł tu dobry klimat... teatralny. Romans André Hubnera-Ochodlo z naszym teatrem zaczął się od „Szarego Anioła” wystawionego w Teatrze Mickiewicza w 2009 roku i trwa poprzez „Plażę”, „Wilki”, „Znikomość”, aż do tegosezonowej premiery - „Do dna”.

Reżyserzy wracają do nas, twierdząc, że jest tu, jak już wspomniałam, sprzyjający klimat... teatralny, wyrobiona (?) publiczność i dobra atmosfera do pracy.

Jak tak częsta współpraca z jednym teatrem przekłada się na „jakość” wystawianych sztuk? To już sprawa indywidualna. Wylęzałek, dopóki pracował na tekstach swojego autorstwa, robił dobre przedstawienia. „Nowonarodzonego” (premiera w 2007 roku) wniósł nową jakość na częstochowską scenę. Tekst był ciekawym połączeniem historii i wspomnień autora, a przemyślana reżyseria przekładała się na spokojną, zrównoważoną grę aktorów (w tym genialnego w swej roli Michała Kuli), z których każdy dokładnie wiedział, po co wychodzi na scenę i co ma do przekazania. Podobnie było z czarną komedią - „Alibi”. Dowcipny tekst, pełen aktualnych słownych kruczków i doskonale poprowadzeni aktorzy. Niesamowita w roli

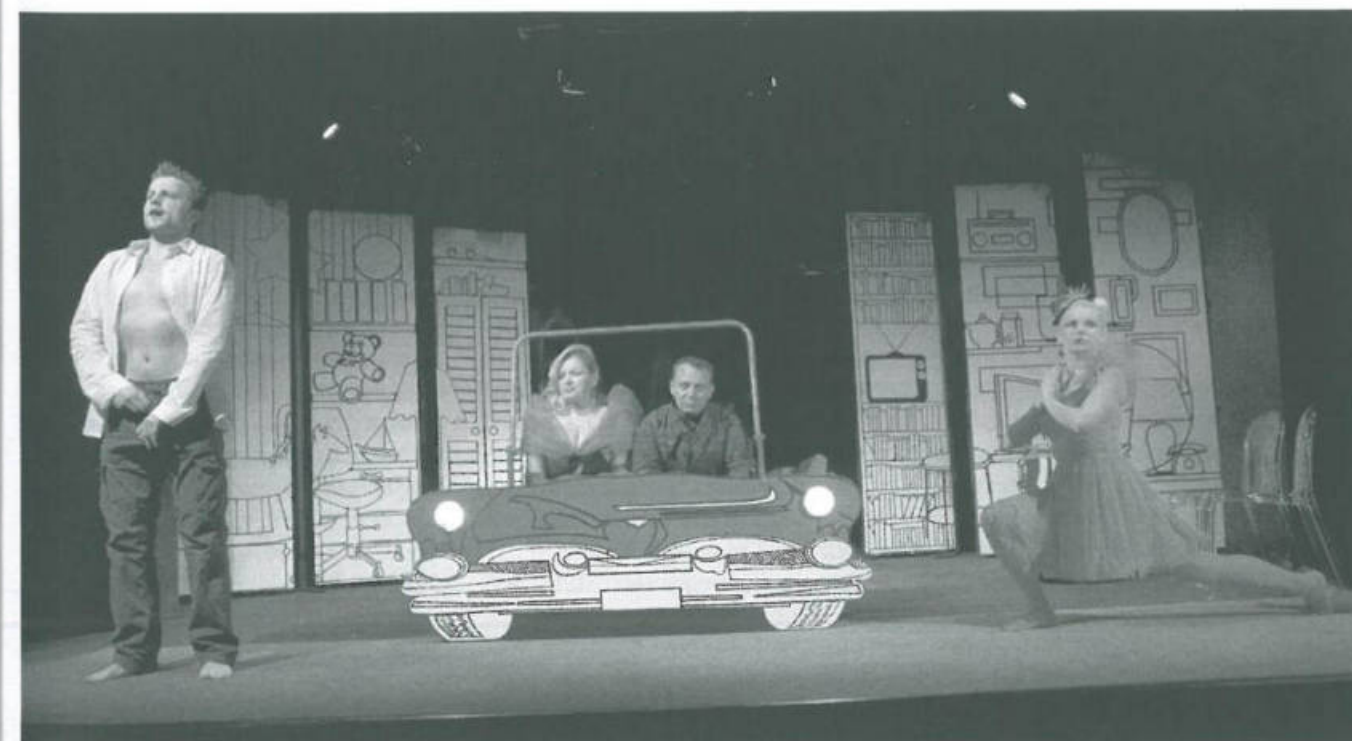
gospodyni pensjonatu Gerdy - Paula Kwietniewska, obsadzona na przekór emploi (wyróżniona za tę rolę na XI Festiwalu Komedii „Talia” w Tarnowie), cudownie nieporadny Adama Hutryra jako rozkojarzony stróż Dimka i Michał Kula jako inspektor policji z ADHD - to wszystko złożyło się na bardzo dobry spektakl, cieszący się szalonym powodzeniem wśród nie tylko częstochowskiej publiczności. Tym bardziej zaskoczył mnie poziom wyreżyserowanej przez Wylęzałka (pod pseudonimem Marek Warnitzky) drugiej premiery sezonu 2011/12 - „Polowanie na łosia” Michała Walczaka. Rodzaj sztuki Wylęzałkowi nieobcy bo, podobnie jak „Alibi”, czarna komedia, a spektakl miałki. Mnóstwo pomysłów reżyserskich wrzuconych do jednego worka i na chybił trafił wyciąganych - dla efektu, czy pod publiczność. Brak spójności, aktorzy sprawiają wrażenie zagubionych na scenie, wykrzykują swoje kwestie bez ładu i składu, co dodatkowo potęguje chaos. I do jakich tu można dojść wniosków? Że pan Wylęzałek lepiej „czuje” sztuki przez siebie napisane i tylko takie powinien reżyserować? A może „Polowanie na łosia” było jednorazową wpadką? Chętnie obejrzę kolejną sztukę będącą wynikiem współpracy Wylęzałka vel Warnitzkiego z naszym teatrem i może wtedy wyrobię sobie jakieś zdanie.

Jeśli chodzi natomiast o André Hubnera-Ochodlo, to muszę przyznać - rozwinął on w częstochowskim teatrze skrzydła. Począwszy od „Szarego Anioła” przeniesionego z Teatru „Atelier” na deski częstochowskie (z gościnnym udziałem naszego aktora - Bartka Kopcia), poprzez podwójne premiery - „Wilki” i „Plażę” do monodramu „Znikomość” ze wspaniałą rolą Maćka Półtoraka, po będący wisienką na torcie spektakl „Do dna” inaugurujący sezon 2011/12 w Teatrze Mickiewicza. Ochodlo twierdzi, że mamy znakomity zespół aktorski i lubi z naszymi aktorami pracować. I vice versa - aktorzy Teatru Mickiewicza pokazują pod jego kierunkiem swoje nieodkryte dotychczas walory. W każdym spektaklu sygnowanym przez Ochodlo widać jego „mocną reżyserską rękę”, która kieruje aktorów na właściwe dla danej roli tory, pozwalając im jednak na pewną spontaniczność i oryginalność na scenie. Nasi aktorzy dobrze się czują z tym reżyserem i efektem są coraz lepsze spektakle. Najbardziej spektakularną przemianę zaliczył Maciek Półtorak, który w monodramie „Znikomość”, reżyserowanym przez Ochodlo, przechodzi przemianę w pełnokrwistego aktora, potrafiącego stworzyć wiarygodną, poruszającą postać. Pod kierunkiem Ochodlo rozwijają się i aktorki - wreszcie zobaczyłam pazur w nazbyt często

subtelnej i pastelowej Agacie Ochodlo-Hutryrze (w „Wilkach” i „Do dna”), a wrażliwość w ukrytej dotychczas pod komiczną maską Iwonie Chołuj. Bardzo in plus zaskoczył mnie też Waldemar Cudzik grający Walię w „Do dna” Ludmiły Pietruszewskiej. U tego akurat reżysera największą rolę grają emocje i chwala mu za to, że potrafi je z aktorów wydobyć.

Ochodlo dodatkowo sam wymyśliła scenografię do swoich przedstawień i zazwyczaj dopełnia ona idealnie treść reżyserowanej przez niego sztuki. Dobrym przykładem jest tu „Plaża” - opowieść o życiu dwóch niezbyt szczęśliwych par, które spotykają się na wakacjach i komplikują sobie życie. Ich pozornie poukładany świat, w którym nie ma miejsca na szaleństwo Ochodlo odzwierciedlił w czarno - białej scenografii i kostiumach. Proste i klarowne dla widza.

Czekam na dalsze spektakle, zarówno Wylęzałka, jak i Ochodlo. Częstochowa, po dość odważnej premierze sztuki Sibylle Berg „Patrz, słońce zachodzi” w reżyserii Bronisławy Nowickiej (2009), idzie w dobrym kierunku repertuarowym, do którego dokładają też po trochu obaj reżyserzy-recydywiści. Oby popelniali chociaż po jednym przedstawieniu na sezon.



„Polowanie na łosia”, reż. Łukasz Wylęzałek

PO_CZYTAJ! PODZIĘKOWANIA

Zastanawialiśmy się poważnie, czy wypada nam w czasopiśmie, które redagujemy pisać o wydarzeniu, które sami zorganizowaliśmy. Rzecz jednak w tym, że tak naprawdę nie zorganizowaliśmy Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!” sami. Festiwal powstał dzięki twórczej inwencji i ciężkiej pracy wielu osób, czego po prostu nie wypada nam pominąć milczeniem. My byliśmy tylko zapalnikiem, który uruchomił całą maszynę organizacyjną. Lista klubów, instytucji, firm, które nas wsparły jest długa, ale jeszcze dłuższa jest lista ludzi, którzy zainwestowali swój prywatny czas, środki transportu, sprzęt, a czasem i pieniądze, by pomóc nam w realizacji tego projektu. Chyba nawet nie jesteśmy w stanie wymienić wszystkich. Ścisły team organizatorski to kilka osób, które zaangażowane były w Festiwal od samego początku, poświęciły mu swój czas, pomysły i pracowały nad ich realizacją dzień po dniu aż do szczęśliwego finału. Artur Bratek (Carpe Diem Klub), Anka „Fugazi” Biernacka, Julia Liszewska, Tomasz Florczyk, Marcin Opałczyński oraz odpowiedzialni za identyfikację wizualną „Czytaj!”, Cezary Łopaciński i Łukasz Piskorek, to osoby, bez których Festiwal nie mógłby zaistnieć. Bardzo Wam wszystkim dziękujemy.

W organizację poszczególnych punktów na festiwalowej mapie zupełnie bezinteresownie zaangażowali się częstochowscy artyści plastycy: Jerzy Kędziora, Marta Frej, Szymon Motyl, Anita Grobelak, Marta Szkiel, Małgorzata Sołtysik-Nita, Małgorzata Frączek, Michał Kmita; literaci: Piotr Nita (Przychodnia Poetycka) i Zbysław Janikowski; fotograf: Piotr Kras; muzycy: Wyłączeni (w składzie: Krzysztof Niedźwiecki - gitara, Robert Czyż - gitara, Grzegorz Rurański - instrumenty perkusyjne), Krzysz:Kross (Mar-

co Finito i Monsieur Rola), Inq̄bator, czyli solowy projekt Jakuba Bugały i Yankodelik w duecie z Piotrem Świłalskim, Piotr Mrocza (trąbka), Kamil Klama (gitara), Przemek Wosiński (bas), Adam Rzepisko (perkusja); aktorzy niezależnego teatru TLEN: Aleksandra Florczyk, Daniel Śliwakowski, Joanna Kapkowska, Konrad Chęciński; aktorzy Studenckiego Koła Teatralnego na Jana: Iwona Jurczyk i Jakub Jura, ale też osoby na co dzień związane z pracą w instytucjach kulturalnych: Ewelina Ignaszak-Stolarska (Regionalny Ośrodek Kultury), Katarzyna Szewczyk i Ada Plaszczyk (Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”), Ewelina Mędrala-Młyńska, Anna Grad i Tomasz Kosiński (Muzeum Częstochowskie, Centrum Promocji Młodych), psycholog i trener twórczości, Justyna Matras (Entrepreno), czytający wolontariusze: Magda Fijołek, Marcin Tyżlik, Oliwia Prymas, Sara Fakhari, Klaudia Kulnicz; ochotniczka-zaopatrzeniowiec, Beata Karaś-Markowska; Adam „Adik” Bednarski (czewa.tv), który zrealizował nam świetny materiał promocyjny i Janusz Pawlikowski (Życie Częstochowskie), który wspierał nie tylko medialnie. Nie sposób też pominąć Agnieszki Matuszewskiej (Kawiarnia Montmartre), Piotra Kozakiewicza (Cafe Belg), Małgorzaty i Sylwii Chebel (Kawiarnia „Coffeeart”), Marcelego Balsama (Makaron), którzy nie tylko „wpuścili” Festiwal w swoje gościnne progi, ale również mocno wsparli go organizacyjnie, a czasem i finansowo. Życzliwych, którzy wspierali nas nieco mniej bezpośrednio było znacznie więcej, ale nie sposób ich wszystkich tutaj wymienić. Gorąco dziękujemy każdemu z osobna.

To było niezwykle miłe doświadczenie spotykać kolejne osoby, które tak chętnie włączały się w naszą niekomercyjną inicjatywę. Odkry-

wać kolejne miejsca, instytucje otwarte na nasze pomysły. Po Festiwalu „Czytaj!” nigdy już nie damy sobie wmówić, że Częstochowa to miasto nieprzychylnie kulturze. Nie sposób przecenić zapału i potencjału wszystkich wymienionych wyżej osób. To w dużym stopniu oni systematycznie odmieniają miasto na przeróżnych kulturalnych frontach. Podejmują niezwykle trudne zadanie wychowywania publiczności i kształtowania gustów. Mamy nadzieję, że w przyszłym roku uda się zarazić pomysłem dekonstrukcji słowa jeszcze więcej osób.

Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!” trwał siedem dni, od 17 do 23 października bieżącego roku. W jego organizację włączyło się kilkanaście częstochowskich klubów i instytucji: Biblioteka Publiczna im. dr Wł. Biegańskiego, Cafe Belg, Carpe Diem Klub, Kawiarnia Montmartre, Kawiarnia i Galeria Coffeeart, Makaron, Muzeum Częstochowskie, Centrum Promocji Młodych, Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”, Regionalny Ośrodek Kultury, Klub ZERO/Teatr S oraz firm prywatnych: Garmond Group/ GK studio, Korporacja „Hart” (Kraków), Entrepreno (Kraków) i Terefer. Wspólnie zorganizowaliśmy około 25 imprez przy aprobaście i duchowym wsparciu Wydziału Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta Częstochowy. Materiały na warsztaty plastyczne zakupiliśmy dzięki dofinansowaniu CARA.

Nam samego festiwalu oceniać nie wypada, zapraszamy jednak do lektury krótkiej relacji autorstwa Anny Biernackiej, która z wyjątkową wytrwałością śledziła festiwal przez cały tydzień.

**Agnieszka Batorek
i Adam Florczyk**



„Wietrzenie poezji”, Jerzy Kędziora, instalacja - fot. Piotr Kras.

„CZYTAJ!” - RAPORT POFESTIWALOWY

Anna Biernacka

zdjęcia: Piotr Kras, Paulina Dziubińska

Początkowo imprezowe apogeum, jak zapowiadali pomysłodawcy, miało mieć miejsce w festiwalowy weekend. Jednak w trakcie przygotowań impreza rozrosła się, sprawiając, iż „startery” okazały się potężnymi wydarzeniami. Jednym z nich była instalacja mistrza Jerzego Kędziory przy ławeczce Haliny Poświatowskiej. Znany na całym świecie ze swych balansujących figur częstochowianin tym razem „powiesił” wiersze, zachęcając w ten sposób jednych - do czytania, innych - do promowania własnej twórczości, pisania, tworzenia poezji i dalszego jej rozprzestrzeniania. Na wiele dni, a nawet tygodni drzewa przy ławeczce poetki łączyła linia wierszy, kreując przestrzeń i nadając jej nowy interaktywny wymiar.

W tym samym, pierwszym dniu festiwalu, swoją interpretację dramatu

Psychoterapolityka Dominika Rettin-gera-Wieczorkowskiego przedstawiło znane z czytania dramatów Studenckie Koło Teatralne „na Jana”. Dobrze, że mają oni swój prywatny krąg odbiorców, bo gdyby nie to, frekwencja pozostałaby wiele do życzenia.

Zaskakująco dużą liczbę odbiorców zebrały natomiast trzy kolejne imprezy tego dnia. Wystawa plakatu typograficznego *Re:format 2*, projektowanie graficzne w Polsce zagościła w Centrum Promocji Młodych w pięknie odnowionej Willi Generała. Jak informowała ulotka, reklamująca to konkretne wydarzenie, celem wybranych na tę wystawę przez kolektyw Bestrona prac, miało być pokazanie częstochowianom projektowania graficznego skupionego wokół typografii, które w naszym mieście nie ma praktycznie żadnej historii. O tym jak atrakcyjna

była to wystawa świadczyć powinien fakt, iż odwiedzili ją nie tylko organizatorzy i ich znajomi, ale również zainteresowani spoza Częstochowy. Nie udało się niestety stworzyć sytuacji dialogu twórca - odbiorca, zaplanowane bowiem na festiwalowy weekend spotkanie z autorami plakatów nie odbyło się. Szczegół, który przy pierwszej edycji można wybaczyć organizatorom, powinien być jednak nauką na przyszłość, aby podobne rzeczy nie miały miejsca. Nie jedyny to zresztą punkt imprezy, który z różnych powodów nie doszedł do skutku. Najczęściej jednak zawodzili ludzie, bo - jak by nie było - oni są motorem napędzającym działanie i jego odbiorcami.

Kiedy otwarcie wystawy *Re:format 2* zmierzało ku końcowi, w Klubie Carpe Diem swoją fotografię zaprezentował Piotr Kras. Częstochowski fotograf

przedstawił cykl zdjęć opatrzonych wspólnym tytułem *Odczytani*. Projekt ten odbierać można wielopoziomowo: z jednej strony pokazuje on konkretną literaturę prezentowaną przez wybrane postacie, z drugiej ta konkretna literatura może stać się punktem wyjścia do tytułowego odczytania, jakimi ludźmi są ci, którzy ją wybrali. Metaforyczne połączenie człowieka i dzieła, trochę jak wróżba, przesąd czy przysłowie „pokaż mi co czytasz, a powiem Ci, kim jesteś”. Jaki był zamysł autora nie wiem, ja odbieram wystawę w taki właśnie sposób, poprzez książkę mogę dowiedzieć się więcej o ludziach.

Na koniec wieczoru na rozluźnienie, ale i na wprowadzenie w erotyczny nocny nastrój - czytanie poetyckich erotyków. W przyjaznych murach restauracji Makaron, pod przywództwem Juli Liszewskiej kilka pięknych, młodych kobiet w mniej lub bardziej zmysłowy sposób odczytało miłosną poezję. Prym w odczytywaniu wiodła sama prowadząca, dla mnie jednak odkryciem wieczoru była koleżanka animatorka, Kasia Szewczyk, która pokazała zupełnie nieznaną nam dotąd oblicze i pasję kryjącą się w jej kobiecości.

Kolejny dzień imprez otworzyła in-

stalacja Szymona Motyla. Szymon dał się poznać jako twórca niebanalnych instalacji już kilkakrotnie. W ciągu roku wymyślił i zrealizował kilka ciekawych projektów od niezapomnianej, poruszającej miastem Kury w akcji przez Jaśniepaństwo podczas Nocy Kulturalnej, Basen na Arterii po Facebooki właśnie podczas „Czytaj!”. W dobie manii facebooka, stworzył dosłowność, realne odbicie wirtualnego symbolu. Instalacja wędrowała po mieście przez cały czas trwania festiwalu, pojawiając się w różnych, czasem zupełnie niespodziewanych miejscach. W Kawiarni i Galerii Coffeart zagościła natomiast Anita Grobelak ze specjalnie na tę okazję przygotowaną wystawą malarstwa i instalacji zatytułowaną *Art-zapiski*, gdzie słowo odgrywało kluczową rolę.

Przygotowanym na wysokim poziomie wydarzeniem, były również działania mające miejsce tego dnia w Teatrze S/Klubie Zero. Literacki performance *Magiczny Ogień* autorstwa Marcina Stachonia i Piotra Kumora zaprezentował tylko drugi z jego autorów. Stworzył stylizowaną na terrorystyczną sytuację, w której każdy z obecnych miał okazję, wręcz musiał na własnej skórze przetestować odczytywanie literatury – prozy i poezji.

To ciekawe doświadczenie było jednym z bardziej interesujących punktów festiwalowego rozkładu jazdy. Po literackiej akcji Piotra Kumora, za sprawą *Farenheita 451* i częstochowskich muzyków z zespołu Wyłączeni pozostaliśmy w płomiennie-książkowym klimacie. Przygotowana przez trio: Niedźwiecki, Czyż, Rurański, oprawa muzyczna do wizualizacji na bazie fragmentów filmu Francois Truffaut *Fahrenheit 451* (adaptacji książki Roy'a Bradbury'ego), to działanie na najwyższym artystycznym poziomie. Najślabszym ogniwem tej części Festiwalu była niestety publiczność, która uczestniczyła w obu wydarzeniach w bardzo wąskim gronie. Po raz kolejny pojawiło się więc pytanie o sens animacji kulturalnej. Najgorsza frekwencja była jednak przed nami.

W środku tygodnia w Kawiarni Montmartre odbyło się *Czytanie na sianie*, gdzie w sielskiej scenerii prezentowano poezję sowizdrzalską. Wyboru utworów na to spotkanie dokonała Ewelina Ignaszak - Stolarska z Regionalnego Ośrodka Kultury, która odpowiadając na zaproszenie pomysłodawców Festiwalu postanowiła przedstawić ten mało znany element polskiej kultury. Prezentacja wierszy,



Szymon Motyl i jego wędrująca instalacja - fot. Piotr Kras.

fraszek i opowiadań autorstwa Jana Dzwonowskiego i Jana z Kijan, odbywała się na tytułowym sianie, co nadało spotkaniu jeszcze bardziej humorystycznego charakteru. I tutaj nastąpił ów wspomniany najgorszy frekwencyjnie moment. Publiczność ograniczyła się do organizatorów (3 osoby), 3 znajomych i 3 przypadkowych osób. To niewiele, biorąc pod uwagę fakt, iż osób zaangażowanych w organizację całego Festiwalu było znacznie więcej. Zapewne zaadecydował o tym dzień i wczesna pora imprezy, a szkoda, bo punkt programu był naprawdę interesujący i solidnie przygotowany.

Ogromnym powodzeniem cieszyło się natomiast wieczorne Slam Poetry, czyli walka na słowa, wersy i wiersze. Przygotowani podczas prowadzonych przez Piotra Nitę warsztatów poetyckich młodzi twórcy, stanęli w szranki ze znanymi już slamerami oraz nowymi poetyckimi odkryciami tego miasta. W tworzeniu poezji na żywo, w improwizowaniu, czyli muzycznym freestyle'u prym wiodł Mixer, nie dziwi więc, że wygrał tę odsłonę zmagania. Przypomnieli się również znani z wcześniejszych spotkań, slamerzy

m.in. Rafał Kwasek prezentujący swoją twórczość na wysokim poziomie czy Piotr Nita. Odzew ze strony twórców oraz widzów, którzy zgromadzili się dość licznie daje podstawę, aby sądzić, że idea slamu w tym mieście przetrwała, że jest potrzeba organizacji takich imprez. Dostrzegli to również sami organizatorzy, którzy zasadzają się na kontynuację tych poetyckich bojów.

Nie odbyła się niestety zaplanowana na wieczór muzyczna impreza z literackim tłem czyli *Robak2światy*, ale mój apetyt na literaturę został w tym dniu zaspokojony. Dlatego z satysfakcją udałam się na odpoczynek, aby w następnym dniu odwiedzić Coofeart, gdzie spotkanie ze Zbysławem Janikowskim poprowadził Janusz Pawlikowski. Zbysław Janikowski to częstochowski gawędziarz opowiadający o swoim mieście z wielkim zaangażowaniem i miłością. To wzór pokazujący jak kochać to miasto, jak w nim żyć i się nim nie rozczarowywać, jak je akceptować takim jakie jest, jak znaleźć w nim dobre strony, jak cieszyć się i pasjonować jego historią, opowieściami o ludziach, miejscach. Zbysław Janikowski i jego opowieści

mają swoich wiernych słuchaczy. Nie należy do nich niestety młode pokolenie, choć powinno, bo to kawał historii tego miasta, której nikt nie przekaze tak jak Pan Zbysław.

Z Coofeartu lotem błyskawicy przeniosłam się do Kawiarni Montmartre, gdzie w raz z Adamem Florczykiem na publiczność czekał już Łukasz Orbitowski. Na spotkanie pod nazwą *Horror Show* przybyli fani literatury grozy. W kilkudziesięciominutowej rozmowie mogliśmy dowiedzieć się czegoś więcej, nie tylko o samej twórczości, inspiracjach pisarza, ale również o jego życiu, pisaniu serialowych scenariuszy, o powodach jego sympatii i jej braku do Wrocławia, Warszawy czy Krakowa.

Tego samego dnia miała jeszcze miejsce teatralna uczta dla wszystkich, którzy podczas wakacyjnego festiwalu teatralnego w Carpe Diem nie mieli okazji obejrzeć spektaklu *Tancerz Mecenasa Kraykowskiego*, czyli również dla mnie. Inscenizacja opowiadania Witolda Gombrowicza w wykonaniu Dariusza Sosińskiego z kaliskiego teatru „Studio Sonda” przypadła do gustu licznie zgromadzonej publiczności. Nie dziwi więc, iż spektakl został



Wymiana książki i czerpanie papieru w Cafe Montmartre - fot. Piotr Kras.



Iqbator podczas koncertu w bibliotece – fot. Paulina Dziubińska.

dostrzeżony podczas Festiwalu Teatrów Ogródkowych i zaproszony po raz kolejny. Chce się powiedzieć - to dobry spektakl był. Widać było profesjonalizm aktora, umiejętność trzymania klimatu i napięcia podczas całego spektaklu. Pełne zawodowstwo i świadomość bycia na scenie godne pozazdrosczenia.

Nieubłaganie zbliżał się weekend i strach mnie ogarniał, bo skoro całotygodniowa zapowiedź tego, co miało być kulminacją, była tak soczysta, to co wydarzy się na deser? Festiwalowy weekend rozpoczął się w muzeum Haliny Poświatowskiej wręczeniem nagród w konkursie *Czytaj i pisz!*. Wiem, że jury nie miało łatwego zadania. Uczniowie szkół ponadgimnazjalnych napisać mieli recenzję przeczytanej wcześniej dowolnej książki współczesnego autora. Przy obecnym spadku czytelnictwa obawy o wybór literatury były więc duże. Nagrodzone w konkursie prace wyróżniały się doбором lektury i umiejętnością własnej ciekawej jej interpretacji.

Po ogłoszeniu wyników konkursu, muzyczna wariacja pod hasłem *Bryk z Poświatowskiej*, połączenie muzyki, literatury i animacji w niemalże mistrzowskim wykonaniu. Nie chcę rozpieścić autorów projektu, bo przed

nimi jeszcze dużo artystycznej pracy i poświęcenia. Chciałabym jednak móc uczestniczyć w takich perełkach częściej. Zespolecie ze sobą animacyjnych prac nad poezją Poświatowskiej z muzyczną improwizacją, dało naprawdę zdumiewający efekt spotęgowany przez klimat miejsca, sprawiający, że wszystko brzmiało i wyglądało znakomicie. Równie znakomicie zaprezentowali się uczniowie Częstochowskiego liceum plastycznego, którzy pod opieką Tomasza Florczyka (jednego z zaangażowanych organizatorów festiwalu) pokazali spektakl *Między nami dobrze jest* na podstawie tekstu Doroty Masłowskiej. Dama polskiej literatury współczesnej, która przebojem weszła na salony, opowiada w swój charakterystyczny sposób, używając równie specyficznego języka o życiu, dzisiejszej rodzinie, jej upadku, braku wyższych wartości. Młodzi aktorzy z Zespołu Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego pokazali w krótkim spektaklu to wszystko, czym żyje dziś córka, matka i babka - różnicę pokoleń, brak platformy do powiedzenia o sobie i rodzinie „my”.

Tych, których nie zmęczył piątkowy program, ani nawet cały tydzień artystycznych doznań zaproszono na „Noc w Bibliotece”. Przed wejściem do

Fili nr 1 Biblioteki Publicznej im. Wł. Biegańskiego przywitała przybyłych instalacja Marty Frej. Znani niektórym z Arterii *Ludzie miasta* ustawieni w nowym miejscu zmienili oblicze, czając się przed drzwiami jak duchy bohaterów książek. A w środku już tylko literatura i muzyka. W specjalnie przygotowanej na ten wieczór bibliotece, w mrocznym, gotyckim klimacie odczytano fragmenty prozy Edgara Allana Poe. Nie zabrakło również muzyki, o którą zadbały dwa częstochowskie projekty: Iqbator i Yankodelik. Muzyczny koncert trwał do północy, o tej godzinie przynajmniej ja straciłam świadomość i zatopiłam się w ramionach Morfeusza przytulając się do tygrysa i misia na dywaniku w dziecięcym kąciu. Nie spałam długo, bo trzeba było posprzątać sprzęt nagłośnieniowy (wypożyczony z Muzeum Częstochowskiego) i przespać choć kilka godzin przed kolejnym dniem atrakcji.

Sobota zaplanowana została w dużej mierze na działania warsztatowe. W Centrum Promocji Młodych odbyły się warsztaty ilustratorskie z Olą Cieślak. Skierowane do starszej grupy młodzieży zajęcia wyzwolić miały kreatywność i niesztampowe odczytywanie symboli, ich wieloznaczność, wielofunkcyjność. Po tych warsztatach,

a nawet już w ich trakcie moja energia spadła do zera, więc udałam się na spoczynek, żeby naładować akumulatory przed wieczornymi atrakcjami. W tym czasie w Cofeart odbyło się *Pogotowie Bajkowe*, skierowane do najmłodszych odczytywanie bajek z lokalnego projektu „Częstochowa Bajkowa” oraz znana już „Akcja Kredka” Marcina Opałczyńskiego - tym razem w wersji *Kredka dzieciom*. W Kawiarni Montmartre miała miejsce wymiana książek - podobno bardzo udana - oraz pokaz czerpania papieru. Nie odbył się niestety zaplanowany na ten dzień seans filmowy oraz, jak wspomniałam wcześniej, spotkanie z plakatem typograficznym, czyli rozmowa z autorami prac wystawy *Re:format 2*.

Kiedy moje ciało i umysł doszły w końcu do siebie, skierowały się prosto do Cafe Belg gdzie Piotr Macierzyński poprowadził wieczór grafomani. To był strzał w dziesiątkę, literacka impreza z górnej półki i nawet próby zakłócenia jej przebiegu przez lokalnego komentatora-gadulę na rauszu nie mogły jej zepsuć, choć niektórym niestety popsuly humor. Dość szybko jednak reagował i naprawiał sytuację prowadzący, z dystansem podchodzący również do swojej twórczości, którą zapre-

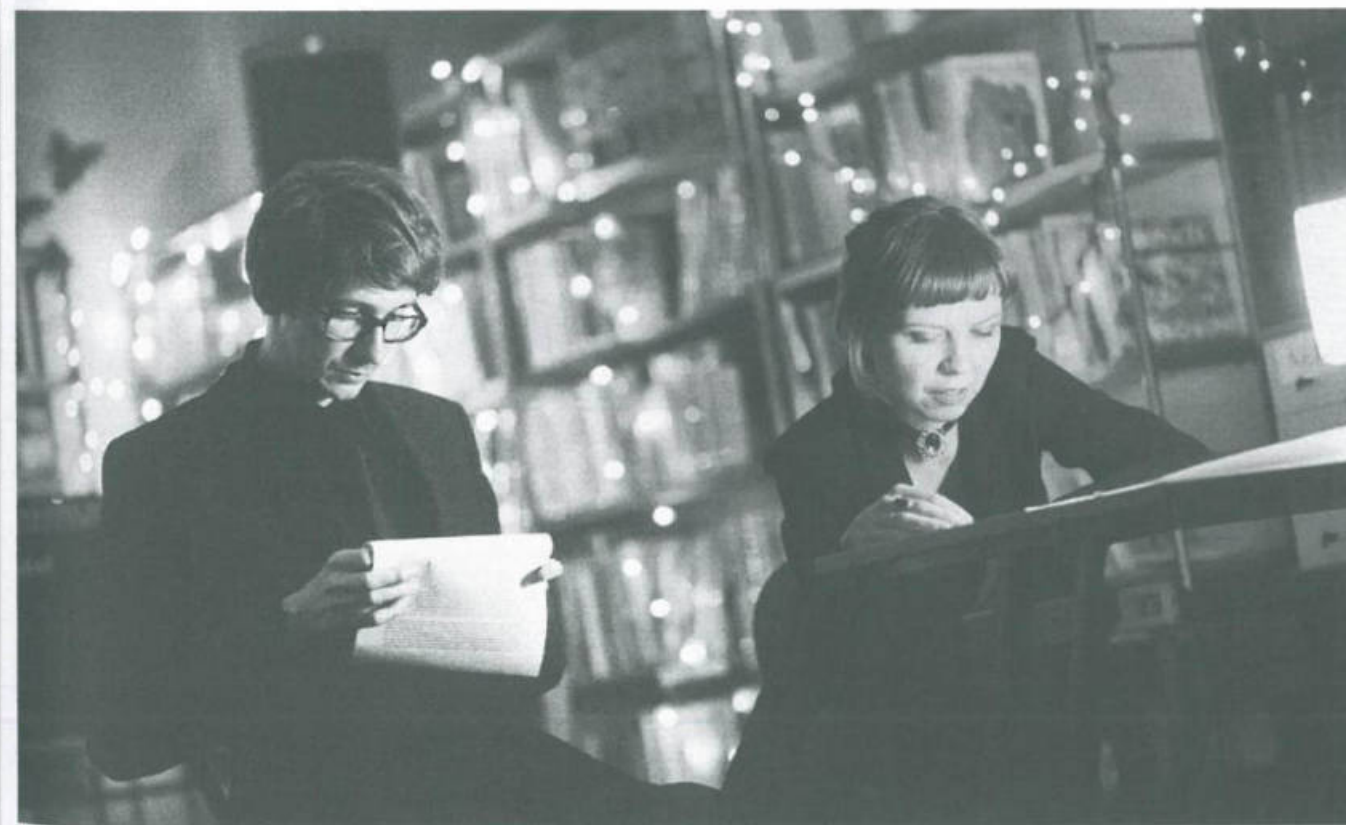
zentował po kilkuminutowej przerwie. Jeśli i to nie poprawiło komuś humoru, z pewnością uczynił to nasz towar eksportowy, czyli Krzyż:Kross. Chłopaki mają takiego kopa i są tak pokręceni - w pozytywnym tego słowa znaczeniu rzecz jasna - że brak mi słów. To, co robią na swoich komputerach i to z jaką zabawą, ironią podchodzą do muzyki i tekstów potrafi chyba rozbroić najbardziej zatwardziały koneserów sztuki muzycznej. Ich teksty są tak dosadne, obnażające rzeczywistość, że nie można ich nie kochać. Czasami tylko zastanawiam się, co siedzi w ich głowach, czy aby ten muzyczno-tekstowy pastisz to nie przykrywką, zasłona dymna przed pokazaniem prawdziwych siebie?

Po tym koncertowym szale byłam tak zmęczona, że cieszyłam się nawet, iż powoli zbliżamy się do końca festiwalowych atrakcji. Przed nami został bowiem ostatni dzień, niedziela, a w jej trakcie kolejne warsztaty, tym razem kreatywnego pisania, dziesięć godzin intensywnego treningu, który tak zmęczył uczestników, że nie dali rady uczestniczyć w dalszych punktach programu, m.in. w wieczornym czytaniu dramatu. Znów więc, tym razem przyjazna sala Gaudē Mater, świeciła niemalże pustkami. W ciągu

dnia odbyły się tam również warsztaty wokół powieści hipertekstowej, komputerowa podróż po świecie powieści „Popołudnie, pewna historia” Michaela Joyce’a przygotowana przez wydawnictwo „Halart”.

Festiwal zakończył się koncertem zespołu L.Stadt, łódzkiego składu, który, jak powiedzieli w wywiadzie jego muzycy, ceni sobie takie małe, bardziej kameralne grania. Wokalista, Łukasz Lach dostrzegł potrzebę organizacji imprez tego typu jak Festiwal „Czytaj!”. Zwrócił uwagę, iż jest to niezbędna społeczności forma edukacji składająca do czerpania z dóbr kultury, do uczestnictwa w niej.

Pierwsza edycja Festiwalu zmagala się z frekwencyjnymi upadkami i wzlotami. Były imprezy z udziałem szerokiej publiczności i były wydarzenia, gdzie absencja łamała wręcz serce, szczególnie, kiedy dana impreza była naprawdę znakomita. Wiele pomysłów zrodziło się podczas jej trwania w głowach organizatorów i wierzę, że również odbiorców. Padły ciekawe spostrzeżenia, kilka propozycji na kontynuację działań. Nic tylko czekać na ich realizację. A może lepiej zakasać rękawy i samej wymyślić kolejną imprezę?



Noc w bibliotece z E.A.Poe, Konrad Chęciński i Julia Liszewska – fot. Paulina Dziubińska.

PIOTR KRAS ODCZYTANI

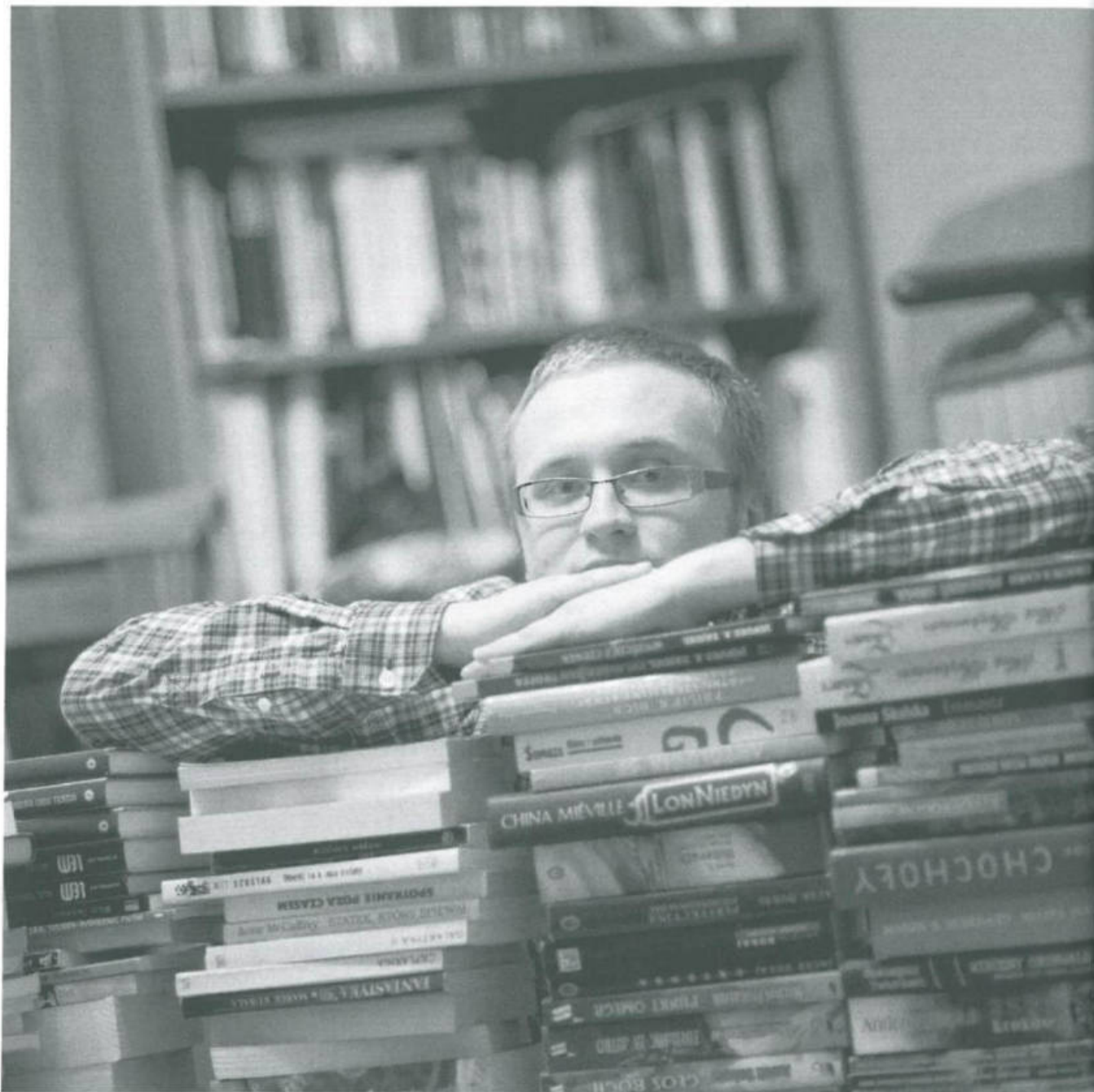


Agnieszka Matuszewska
Oddział chorych na raka, Aleksander Sołżenicyn

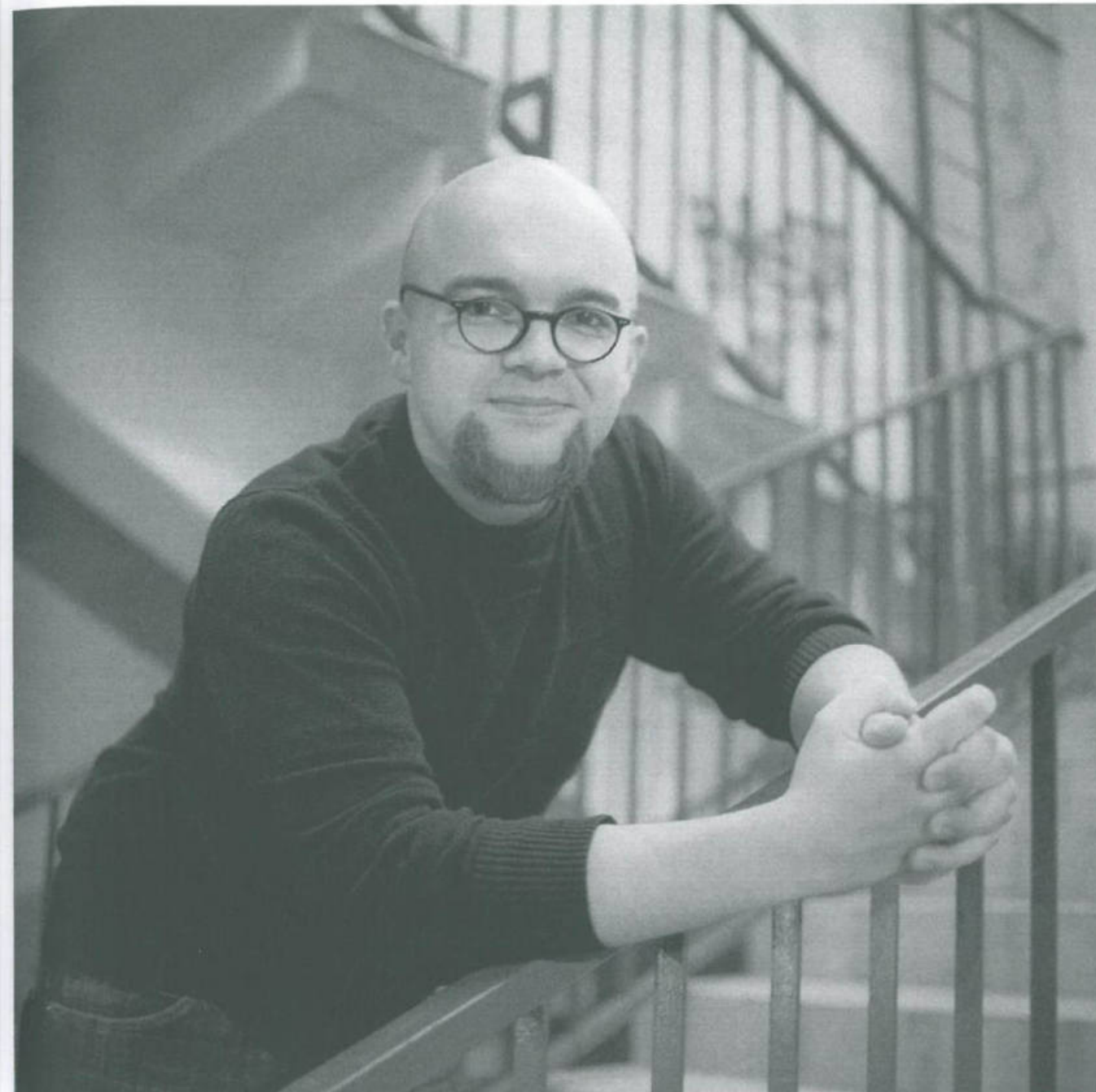
PIOTR KRAS ODCZYTANI



Agnieszka Batorek
Dom z papieru, Carlos Maria Dominguez

PIOTR KRAS *ODCZYTANI*

Adam Florczyk
Całość i nieskończoność, Levinas Emmanuel

PIOTR KRAS *ODCZYTANI*

Piotr Nita
Poezja jako miejsce na Ziemi, Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki

PIOTR KRAS ODCZYTANI

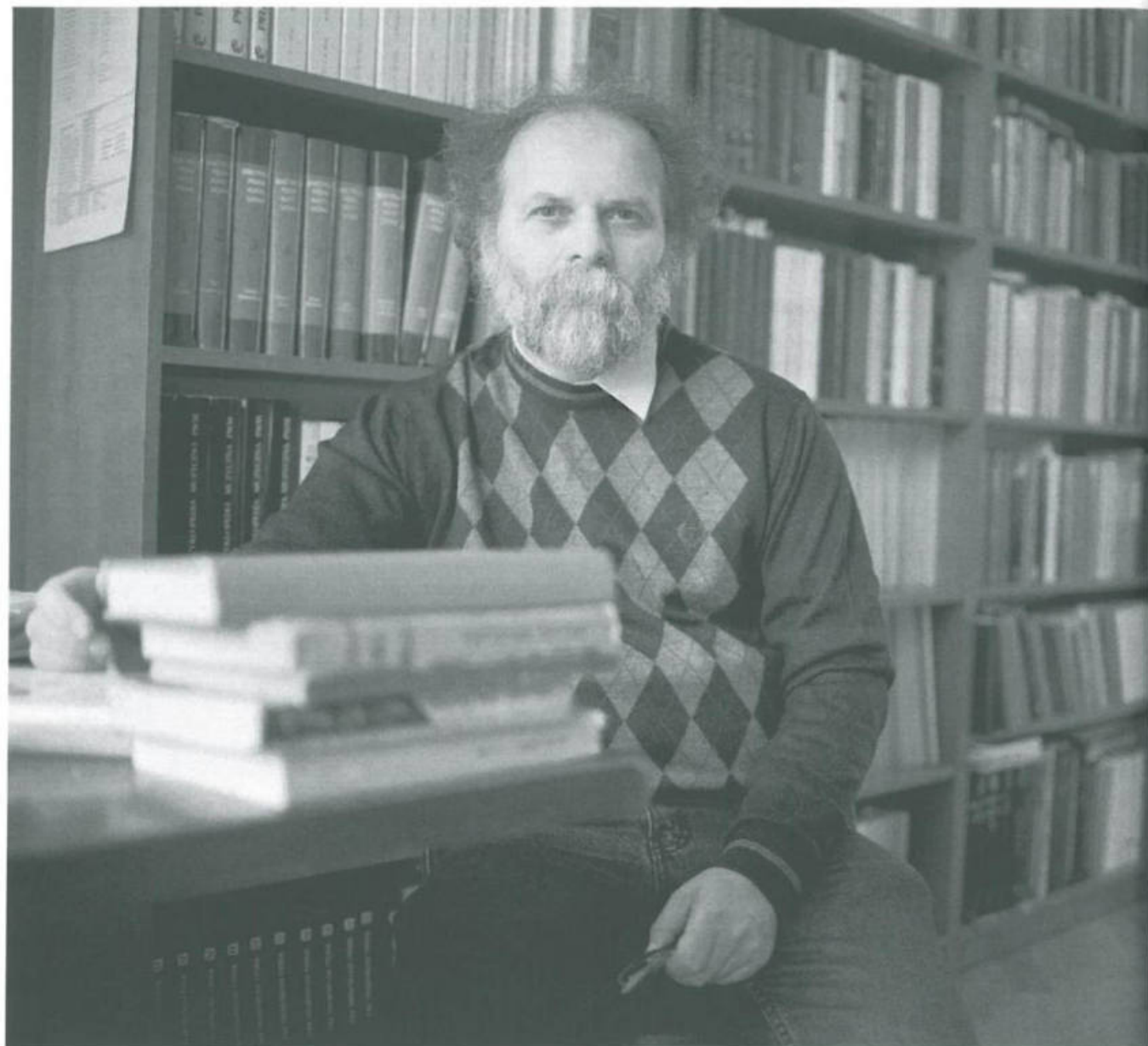


Robert Zaręba
Gra szklanych paciorków, Herman Hesse

PIOTR KRAS ODCZYTANI



Wiesio Wszyński
Kubuś Fatalista i jego pan, Denis Diderot

PIOTR KRAS *ODCZYTANI*

Wiesław Paszkowski
Życie i myśli JW Pana Tristrama Schandy, Laurence Sterne

PIOTR KRAS *ODCZYTANI*

Karolina Borecka
Kiedy Nietzsche szlochał, Irvin D. Yalom

PIOTR KRAS ODCZYTANI



Janusz Pawlikowski
Mistrz i Małgorzata, Michał Bułhakow

KADRY AMATORÓW

PO OBEJRZENIU TRZYDZIESTU DWÓCH FILMÓW, KTÓRE W TYM ROKU BRAŁY UDZIAŁ W KONKURSIE „CZĘSTOCHOWA W KADRZE”, STWIERDZIŁEM, ŻE JEGO FORMUŁA ZDECYDOWANIE WYMAGA ODŚWIEŻENIA. FAJNA, FILMOWA INICJATYWA UTKNĘŁA W MIEJSCU. TO JUŻ JEJ XII EDYCJA, A NIE JEST ANI LEPIEJ, ANI GORZEJ, OT TAK JAK ZAWSZE. NIEPOKOJĄCE TO, BO MARAZM NIGDY NIE SPRZYJA TWÓRCZEJ ENERGII. PRZYDAŁBY SIĘ JAKIŚ WSTRZĄS, KTÓRY POPCHNAŁBY TWÓRCÓW, BY DALI Z SIEBIE JESZCZE WIĘCEJ. W ZWIĄZKU Z TYM POZWOLĘ SOBIE WYKORZYSTAĆ ŁAMY „ALEI 3”, ŻEBY LOBBOWAĆ ZA REWOLUCJĄ W RAMACH „CZĘSTOCHOWY W KADRZE”.

Adam Florczyk

Że warto optować za zmianami przekonałem się już podczas tej edycji. Od dwóch lat głośno narzekałem, że mamy XXI wiek, a konkurs mentalnie tkwi jeszcze w XIX. W końcu biorą w nim udział głównie młodzi filmowcy, czyli ludzie w większości obznajeni z nowymi mediami. A tu czeka na nich prehistoryczna strona internetowa i wyniki jury jako pliki word. Tak jakby organizatorzy nie mieli pojęcia o tym, że estetyka internetu przeszła kilka wstrząsów od lat 90tych i że żyjemy w erze youtube. Na szczęście w tym roku ktoś wreszcie zorientował się, że formuła konkursu dla krótkich (maksymalnie 10 minutowych) filmów, aż prosi się o wykorzystanie internetowego medium. I wszystkie uczestniczące w konkursie obrazy zobaczyć można pod adresem: <http://www.okf.czysto.pl/kadr.html>. To krok w dobrą stronę. Po cichu liczę też, że to początek archiwum konkursu, które przekrojowo pokazałoby jak jego uczestnicy próbowali łapać tę Częstochowę w kadr na przestrzeni lat.

Tegoroczni uczestnicy konkursu łapali miasto w kadr według różnych kluczy. Niektórzy tak po prostu kierowali na nie kamerę licząc, że ono sama się sprzeda. Tradycyjnie więc mieliśmy kilka filmów „folderowych” („Noc” Tomasza Piętka, „Spacer po Częstochowie” Adriana Krawczyka, „Zostań” Artura Broncela), plus jakieś eksperymentalne spojrzenia na miasto („Jigsaw falling into place” Damiana Jekiela). Inni stawiali na kontekst historyczny. Z tym, że czasem dbałość o historyczne szczegóły zastępowała dbałość o fabułę („Schron” Adama Kurusa), a kiedy indziej to nachalny, ideologicz-

ny dydaktyzm uwierał w odbiorze.

Tradycyjnie również amatorzy filmowcy próbowali rozciągnąć temat „Częstochowy w kadrze” do granic wytrzymałości. Przemycając na konkurs filmy wszelakie, zazwyczaj pretekstowo dotyczące samego miasta. Z lubością porywając się przy tym na tematy trudne: samobójstwo („Krawędź” Mariusza Jaśkiewicza, „Dach” Macieja Jurgielewicz), śmierć („Powidok” Sebastiana Puchały, „There is no hope” Bartosza Dzikowskiego), miłość („Origami” Łukasza Albińskiego, „Placembo” Anny Kmiecik), czy metafizyka („Słucham” Zbigniewa Martana). Na takich zagadnieniach zęby łamią nawet profesjonaliści, a co dopiero amatorzy. Nie powinno więc dziwić, że większość z tych filmów jest albo za mało czytelna, albo niebezpiecznie ociera się o banał. Co utwierdza mnie w przekonaniu, że kręcąc filmowe wprawki nie wolno rzucać się od razu na głęboką wodę.

Nie chcę tu jednak wyjść na jakiegoś bezwzględniego krytyka. Zdaję sobie sprawę, że od amatorów nie można wymagać jakiegoś finezyjnego filmowego warsztatu, czy pełnej świadomości struktury narracyjnej. Siła ich twórczości leży w oryginalności, entuzjazmie i świeżym spojrzeniu. Zatem właśnie tego trzeba szukać w pracach uczestników konkursu. Na szczęście w tym roku również udało się odkryć perełki według takiego klucza. Chociażby filmy Ewy Grajner „Święty Szczyt” oraz „Częstochowian portret własny”. Strasznie surowe warsztato, ale pokazujące Częstochowę w zabawny i niezwykle celny sposób. Ewa Grajner zaserwowała kolaże subiek-

tywnych spojrzeń na miasto, wyzbyte odautorskiego komentarza. W dość chaotyczny sposób posklejała krótkie ujęcia, wywiady i zdjęcia. Moc tych prac leżała w tym, że zamiast folderowych kadrów autorka szukała prawdy o Częstochowie. I ja jej uwierzyłem. Przez chwilę patrzyłem na miasto jej oczami, by zobaczyć jak pełne jest ono kontrastów i sprzeczności. Dałem się przekonać, że nie ma tylko jednego sposobu jego odczytania.

Moim tegorocznym faworytem w konkursowej stawce był jednak „Cebula przedłuża życie” Patrycji Bystrej i Adama Bednarskiego. Filmowy wywiad z pewną wyjątkową częstochowianką, która opowiada swoją wojenną historię, a przy okazji historię miasta. Siła tego obrazu leży w prostocie. Bez bicia w patriotyczny bęben, dydaktyzmu i patosu, autorzy oddali głos pani Marii Kuberskiej, która po prostu dała świadectwo. Okazuje się bowiem, że czasem wystarczy tylko zrobić przestrzeń - bez zbędnego udiwniania i zagadywania własnych bohaterów. Dodatkowo to też jeden z najlepiej technicznie nakręconych filmów, w stawce tegorocznego konkursu.

Niestety ani „Cebula...”, ani filmy Ewy Grajner nie zyskały uznania w oczach jury. Podczas tej edycji obradowało ono w składzie: Michał Tkaczyński - przewodniczący, Aleksander Wierny, Janusz Mielczarek oraz Tadeusz Piersiak. Zabrakło Magdaleny Piekorz, która w ostatniej chwili odwołała przyjazd. Wielka szkoda, bo uznany fachowiec od filmu w zespole oceniającym, to zawsze był atut „Częstochowy w kadrze”, prestiżowa sprawa. Niestety takie sytuacje się zdarzają i organizatorzy nie zawsze mogą im zapobiec.

Mój gust w dużym stopniu zbiegł się z werdyktem jury w kwestii wyróżnień. Zdobyły je filmy Michała Bogacza „Utylizatora” i „To”, które ujmowały lekkością, bezpretensjonalnością i sprawnością w trudnej sztuce posługiwania się absurdem. Szczególnie ten drugi film był warty uwagi. Radosna historia „spaceru” tajemniczej postaci, od jednego tekturowego pudła do drugiego - swoista podróż bez dotykania gruntu. Naprawdę solidnie zmontowana. Wyróżnienie zdobyła również Grupa Filmowa z Gimnazjum i Liceum im. Z. Herberta w Częstochowie za film

„Kozą”. Choć właściwie powinienem napisać za trailer filmowy. Bo wykorzystując taką formułę młodzi autorzy „przeskoczyli” dziesięćminutowy limit prac konkursowych. W tych ramach czasowych pokazali zapowiedź, ale zasugerowali i naszkicowali dużo większą całość. Udało się, bo wykazali się przy tym doskonałym wyczuciem filmowego tworzywa i sprawnością w żonglowaniu popkulturowymi klišami.

Co natomiast popchnęło jury do wyróżnienia także „Ludzi wolnych” Michała Błaszczyka, Kamila Trąbskiego i Krzysztofa Kamińskiego, pozostaje dla mnie prawdziwą zagadką. Może jestem niesprawiedliwy, ale po prostu nie lubię filmów z góry przyjętą tezą. Ten miał jasną i wyraźną: młodzi dziś są próżni i zepsuci. Co więcej udowodniał ją oklepanymi metodami, wzdychając do starych, dobrych czasów, kiedy to wszystko było lepsze. Żołnierze AK, działacze Solidarności, to byli bohaterowi, a dziś młodym tylko głupoty w głowie. Mnie taka retoryka nie przekonuje.

Co do konkursowego podium, które wiązało się z gratyfikacją finansową, to na pierwszym miejscu znalazły się „Małe Wojny” Marcina Frąca i Jakuba Dunala.. Wojenna opowieść z ludzkimi dramatami w tle. Film poprawny, ale pod żadnym względem nie porywający. W moim odczuciu, nie wyróżniał się niczym szczególnym z konkursowej stawki. Jury doceniło go „za wyjątkowo spójne i kompleksowe stworzenie opowieści filmowej, trafnie oddającej klimat minionego świata”, ja zapamiętałem głównie francuskie dialogi (pierwotnie był on przygotowywany na festiwal francuskojęzycznych filmów krótkometrażowych w Zielonej Górze). Druga nagroda przypadła natomiast Annie Kmieciak za film „Placebo”. Fabule z ciekawym pomysłem, która jednak nie miała najmniejszych szans przekonująco się rozwinąć. Młodzi amatorzy opowiadający o tajemniczej kobiecie, która odmienia życie małżeństwa z problemami - to po prostu nie mogło się udać w tak krótkim formacie.

I tak dotarliśmy do miejsca trzeciego z którym wiąże się historia, która pozostawiła poczucie niesmaku po tegorocznej edycji konkursu. Mieliśmy

bowiem próbę oszustwa. Piotr Urban, którego „Uwaga Dewianci!”, początkowo zdobyło trzecią nagrodę, okazał się być studentem łódzkiej filmówki. Tym samym złamał regulamin i popsuł całą zabawę. Szkoda, że takie zdarzenie miało miejsce, szkoda że nie zadziałały mechanizmy kontroli, które nie powinny dopuścić takiego filmu do konkursu. Bo teraz, mimo że „Uwaga Dewianci!” to świetna etiuda, to będzie mi się ona kojarzyć z ordynarnym kanciarstwem. Odebraną Piotrowi Urbanowi nagrodę przyznano „Dachowi” Macieja Jurgielewicza, który wcześniej zdobył również Nagrodę Gazety Wyborczej. Filmowi może i młodzieńczo naiwnemu ale przynajmniej uczciwemu.

Po cichu jednak liczę, że całą tę nieprzyjemną historię organizatorzy wykorzystają jako pretekst do zmian w samym konkursie. Bo jeśli profesjonalści tak „pchają” się do uczestnictwa, czemu nie wykorzystać ich energii. A poszerzenie formuły o dodatkową kategorię wyszłoby „Częstochowy w kadrze” tylko na dobre. Pewnie nawet nie nie musiałoby to konieczne wiązać się ze zwiększaniem dodatkowo budżetu imprezy. Zamiast nagradzania finansowo całego podium, można by ufundować po prostu dwie główne nagrody: jedną dla amatorów, drugą dla osób z większym doświadczeniem. Czterogodzinny maraton filmu amatorskiego, nawet rozbity na dwa dni, może zmęczyć. Siłą rzeczy, wiele zgłoszonych do konkursu prac jest kiepskich zarówno pod względem warsztatowym jak i koncepcyjnym. Gdyby poprzerplatać je obrazami autorów o większej świadomości rzemiosła filmowego, poziom konkursu byłby w sposób naturalny wzrósł, a całość stałaby się atrakcyjniejsza dla widzów.

Oczywiście nie upieram się, że to jedyna droga odświeżenia konkursu, zapewne jest ich więcej. Ale jestem przekonany, że to najwyższa pora, by którąś z nich ruszyć. Tym bardziej, że „Częstochowa w kadrze” jest jedyną filmową imprezą z prawdziwego zdarzenia w mieście i aż się prosi, żeby na jej bazie zbudować coś więcej. Nie trzeba porzucać przy tym formuły konkursu dla amatorów, która ma już swoją tradycję, lecz o prostu obudować ją dodatkowymi atrakcjami. Z nadzieją na zmiany, wyglądam więc przyszłoroczną edycję.

Mateusz Nowak - „Teatralność”
w reż. Stanisława Miedziewskiego

IV CZĘSTOCHOWSKI PRZEGLĄD MONODRAMÓW 42-200 MONODRAM

Anna Biernacka
zdjęcia: Piotr Kras

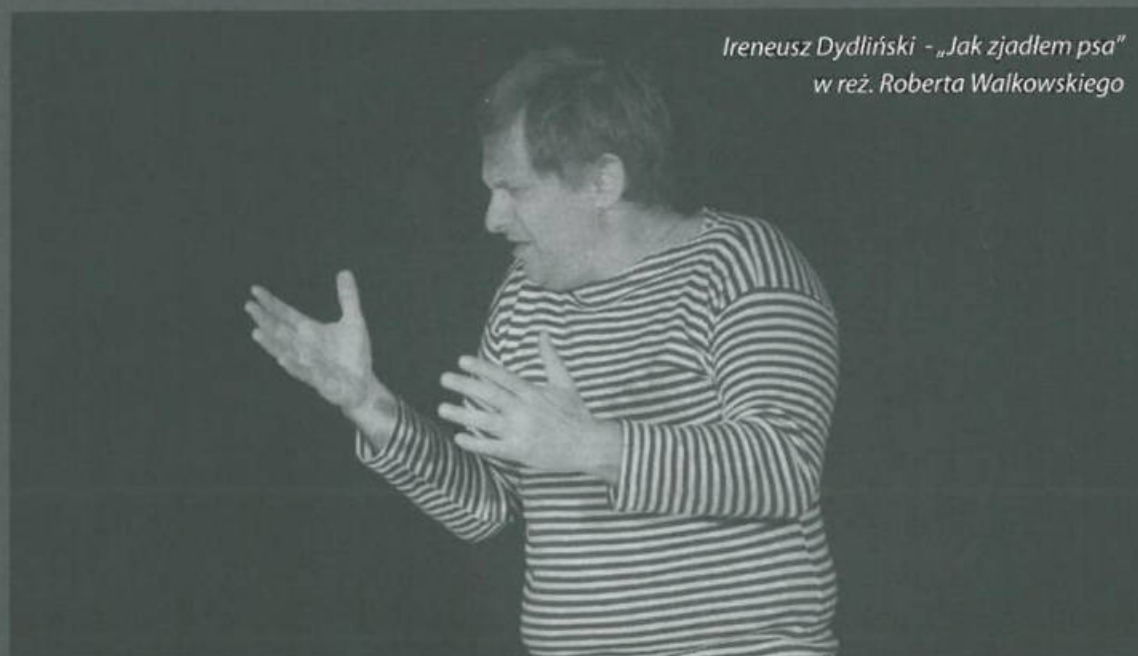
TEATR JEDNEGO AKTORA JEST JAK POJEDYNEK, O KTÓREGO WYNIK AKTOR MOŻE MIEĆ PRETENSJE TYLKO DO SIEBIE (NO MOŻE CZASEM DO OŚWIETLENIOWCA CZY DŹWIĘKOWCA). W JESZCZE ZAMKNIĘTYCH POMIESZCZENIACH TEATRU FROM POLAND 6 LISTOPADA ROZPOCZĄŁ SIĘ IV CZĘSTOCHOWSKI PRZEGLĄD MONODRAMÓW 42-200 MONODRAM. NAZWA FESTIWALU IDENTYFIKUJE BARDZO KONKRETNIE Z JEDNEJ STRONY Z MIASTEM, Z DRUGIEJ PRZYPOMINA - MNIE PRZYNAJMNIJ - WYDAWANY KILKA LATA TEMU MIESIĘCZNIK - PERIODYK - TROCHĘ TAKIE DZISIEJSZE CGK - POD TAKIM WŁAŚNIE TYTUŁEM 42-200, KTÓREGO NAZWĘ WYMYŚLILI KRZYSZTOF PIKOR I ZASIADAJĄCY W JURY OPISYWANEGO FESTIWALU JANUSZ PAWLIKOWSKI.

Jak zapewniał Wojciech Kowalski, podczas otwarcia festiwalu, do tegorocznej edycji wybrane zostały najlepsze z nadesłanych propozycji. Nie można się z tym nie zgodzić, bo poziom był wysoki i raczej wyrównany, z lekkimi tylko odchyleniami w dół. Biorąc pod uwagę fakt, iż na cztery zgłoszone spektakle, dwa w trakcie trwania festiwalu zostały odwołane i zastąpione innymi, to i tak dobry wynik. Jeden z aktorów wygłosił ze sceny sentencję: „od teatru jednego aktora gorszy może być tylko teatr jednej aktorki”. I chyba idąc tym kluczem organizatorzy nie wybrali w tym roku do udziału w konkursie żadnego monodramu w wykonaniu żeńskim. W pewnym sensie wyrównali w ten sposób szanse uczestników, stawiając do boju samych mężczyzn. Za sprawą odwołania jednego ze spektakli widzowie nie mieli również okazji obejrzeć dwóch spektakli tego samego reżysera, Stanisława Miedziewskiego, dla mnie ostatnio mistrza w przygotowywaniu monodramów. To co zrobił z „Divą” graną przez Wioletę Komar – majstersztyk! Ale nie o moich fascynacjach teraz...

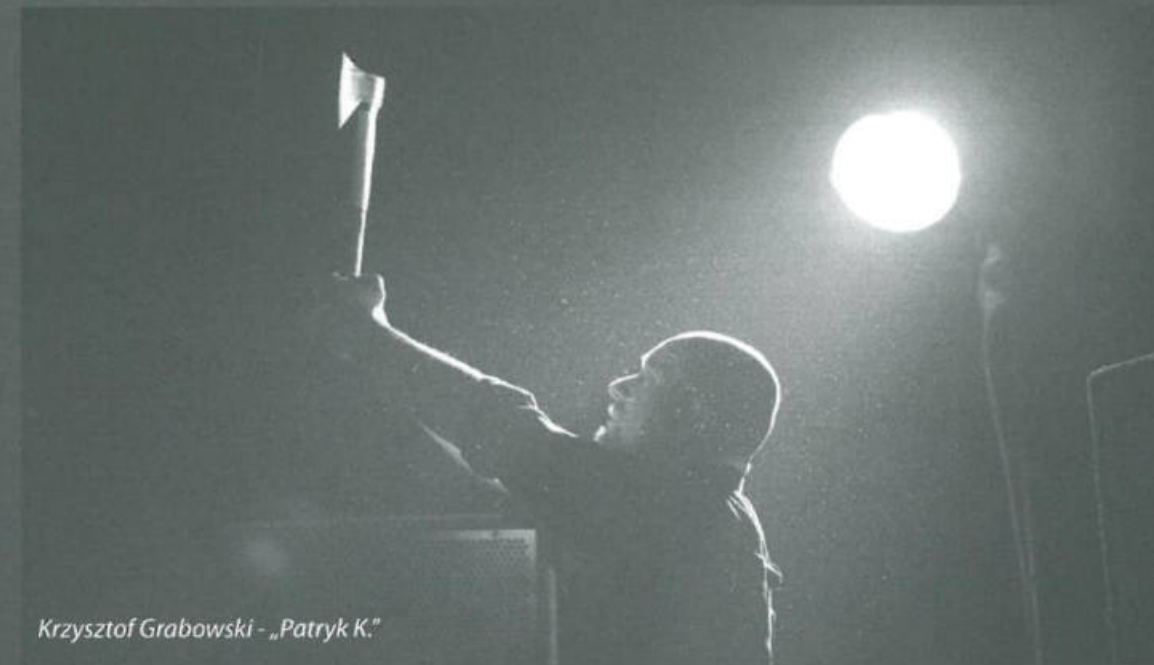
Stanisław Miedziewski odsłonił się częstochowianom podczas tegorocznej edycji monodramów jako pierwszy, prezentując za pomocą aktora, Mateusza Nowaka, monodram „Teatralność”. Świadomie piszę, iż to Miedziewski prezentuje się widzom, bowiem aktor przygotowany przez niego pokazuje najwyższy kunszt reżyserski, to swego rodzaju „gra z gry”. Stanisław Miedziewski posiada niesamowitą wręcz umiejętność przygotowania aktora do odgrywania ról, prowadzi go przez cały spektakl z sobie tylko znaną biegłością.

Literacka treść spektaklu to kolaż tekstów, Bernarda-Marie Koltèsa „Fragmenty mojego życia”, „Nickel Stuff”, „Roberto Zucco”, „Samotność pół bawelnianych”, Łukasza Rippera „Rzecz o samotności” i Michała Walczaka „Szaman”. Tematyka poruszana w wybranych fragmentach oscyluje wokół kondycji artysty, jego sensu istnienia na scenie, konieczności ciągłej pracy, poszerzania wiedzy i nabywania ciągle nowych i nowych kwalifikacji. To grzebanie w tkance teatru, naigrywanie się m.in. ze wspomnianego teatru jednej aktorki, to niebezpieczne balansowanie pomiędzy drwiną z fundamentów teatru a banałem. Ten niebezpieczny balans udało się na szczęście zachować nie popadając w żenujące frazesy. Bez wątpliwa zasługa to Miedziewskiego, który wyciąga z artysty – aktora to co najlepsze. Żal więc trochę, że widzowie nie mieli okazji obejrzeć (ja miałam) innej pracy tego reżysera, spektaklu „Gracz”, bo to również doskonały przykład jak za pomocą jednego aktora można pokazać doskonały teatr.

Tydzień później na tych samych deskach TffP Ireneusz Dydliński zaprezentował wyreżyserowany przez Roberta Walkowskiego monodram „Jak zjadłem psa”. Pecha miał niestety aktor, bo widziałam ten spektakl w znacznie lepszej wersji w innym wykonaniu. Częstochowska prezentacja wprawiała mnie momentami w stan zażenowania, którego nie lubię w teatrze, kiedy aktor jest albo zwyczajnie słaby technicznie, albo fałszywie i nieudolnie opowiada historię licząc na to, że widz mu uwierzy. Ja się nie nabrałam, mimo szacunku do opowieści Jewgienija Grizkowca, nazywanego „nowym sentymentalistą”, bardzo głęboko osadzającego swoje historie w realiach ZSRR i Rosji. Od zawodowego aktora wymagam czegoś więcej niż beznamiętnego wręcz odgrywania roli. Równie dobrze mógłby on bez poruszania się po scenie odczytać, czy też wyrecytować tekst. Wniesiona na scenę torba – żeglarski worek – to rekwizyt kompletnie nie wykorzystany, nieograny. Nie był to mój faworyt tegorocznej edycji festiwalu i na szczęście nie był to również faworyt jurorów.



Ireneusz Dydliński - „Jak zjadłem psa”
w reż. Roberta Walkowskiego



Krzysztof Grabowski - „Patryk K.”

Z lekkimi obawami przyszedłam na kolejny spektakl ponieważ jego współreżyserem jest Edward Gramont, a jego twórczość nie zawsze jest dla mnie do przyjęcia. Moje obawy były poniekąd słuszne „Ja Ediczka” to spektakl w stylu Teatru Terminus A Quo, ale z racji aktorstwa na wysokim poziomie uniknął zamknięcia się w typowej dla Gramonta formie. Opowieść o radzieckim poecie przebywającym w Nowym Jorku, przywodzi mi na myśl historię Polaka lądującego bez pracy na ulicach Londynu. „Jestem taki biedny, bo myślałem, że tu pieniądze leżą na ulicy”. A tu figa z makiem, trzeba się nagimnastykować, żeby znaleźć pracę i przetrwać. Za każdym razem kiedy w realnym życiu spotykam człowieka, któremu najwzyczajniej w świecie się nie chce i kombinuje jak prześlizgnąć się przez życie, albo przetrwać jadąc na czyichś plecach, wcale go nie żałuję. Nie żał więc mi również bohatera, który w moim poczuciu spięrzył swoje życie i nie mogąc przyznać się przed samym sobą do porażki, udaje, gra radość i zadowolenia z prowadzonego przez siebie życia „ulicznika” bezdomnego żula w głębi duszy zazdroścąc tym, którym się udało. A że Michał Kasprzak gra swą rolę z pełnym zaangażowaniem, do krwi, potu, w bardzo bliskim, wprost namacalnym kontakcie z widzem, nie można na zaserwowane przez niego danie narzekać. To bardzo mocny spektakl, w którym aktor jako człowiek oddaje się widzom bez reszty, w całości, odkrywa przed widzami całe swe wnętrze. Nie dziwi więc może fakt, że w opinii jurorów to ten właśnie spektakl został wyróżniony i nagrodzony.

Dla mnie wybór najlepszego spektaklu nie byłby prosty i oczywisty, ostatnia prezentacja zastępująca spektakl „Gracz” dała mi równie wiele do myślenia o teatrze jednego aktora i jego formie, co trzy wcześniejsze. Nagrodzony podczas 40. Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Jednego Aktora spektakl „Patryk K” na podstawie tekstów Jerzego Pilcha („Miasto utrapienia”, „Moje pierwsze samobójstwo”, „Marsz Polonia”) w wykonaniu Krzysztofa Grabowskiego to pozornie opowieść o życiu, dorastaniu, rodzinie. A w gruncie rzeczy śmieszno gorzka historia człowieka, w którym odślania się natura dewianta, gotowego do największych poświęceń, w celu zaspokojenia swego zбочenia. Spektakl jest na przemian to tragiczny to śmieszny przez co jeszcze bardziej narracja Patryka, mówienie o sobie, swoim życiu seksualnym, przygodach z kobietami i wielu innych rzeczach, staje się bliska sercu. Mężczyzną nie jestem (choć czasem bardzo bym chciała), ale chyba pragnienie spełnienia nie ma płci i zasługuje na nie każdy.

Nie chciałabym być natomiast na miejscu jurorów tegorocznej edycji festiwalu, wybór bowiem nie jest dla mnie łatwy i oczywisty. Każdy, no może poza Grizkowcem, spektakl ujął mnie w jakiś swój sposób, opowiedział historie nie tylko autora tekstu, ale również aktora. A dla mnie w spektaklu najważniejsza jest szczerłość i nie o szczerłość intencji tu chodzi ale o szczerłość artystyczną, świadomość swoich mocnych i słabych stron jako aktora, jako człowieka odgrywającego rolę.

Monodram to z jednej strony trudna forma teatralna, z drugiej jest ona szansą dla aktora, daje mu możliwość pokazania swych umiejętności, sprawdzenia się sam na sam z widzami. W tej walce dużą rolę odgrywa też techniczna strona spektaklu światło i dźwięk. W tegorocznej edycji dwa z prezentowanych spektakli (Teatralność, Patryk K) umiejętnie ją wykorzystywały budując inny świat tak charakterystyczny dla teatru.

Czasem jednak wystarczy dobry tekst, scena, białe światło i dobra gra aktorska by osiągnąć sukces.

TADEUSZ GIERYMSKI POETA CZĘSTOCHOWY

Maciej Batorek

Mija dwa lata od chwili, w której żegnaliśmy na cmentarzu św. Rocha Tadeusza Gierymskiego. Zmarł 22 listopada 2009r. Był twórcą osiadłym w naszym mieście, silnie związanym z rytmem jego życia społecznego, kulturalnego.

Urodził się w Płońsku w 1928 roku, w dzieciństwie i młodości często zmieniał miejsce zamieszkania z uwagi na zawód ojca – zawiadowcy stacji, często przenoszonego z miejsca na miejsce. W tym okresie rodzina Gierymskich przebywała m.in. w Rudzie Kałubskiej, Chatyłowiu na Podlasiu, Nieszawie, w Skierniewicach i w Łodzi. Właśnie w Łodzi Tadeusz ukończył studia polonistyczne w Uniwersytecie Łódzkim. Podejmował również studia w Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej i Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, których nie ukończył. W 1954 r. wiedziony uczuciem osiadł w Częstochowie, gdzie się ożenił się z Marią i dochował dwójki dzieci – Hanny i Wojciecha. Pracował w Miejskiej Bibliotece Publicznej, później był redaktorem i sekretarzem Redakcji „Gazety Częstochowskiej”, na początku lat 60-tych przeszedł do pracy w Wojewódzkiej Bibliotece Pedagogicznej, gdzie był zatrudniony do emerytury.

Jak wspominał mierzył się z poezją już w latach szkolnych, kontynuował pisanie „do szuflady” w okresie studiów i służby wojskowej. Debiutował poetycko na łamach prasy stosunkowo późno, bo w 1955 r. w „Tygodniku Powszechnym”. Pierwszy zbiór literacki ukazał się w 1976r. – *Mała oda do lampy*. Kolejne tomiki poetyckie: w 1982r. – *Rosa i rdza*, w 1999r. – *Wiersze*, w 2002 r. – *Wyścig z czasem. Wybór wierszy; Opowiadania najkrótsze*. Wiele utworów poetyckich Tadeusza Gierymskiego można odnaleźć na łamach prasy i zbiorowych wydań poetyckich, takich jak m.in. w dodatku do „Gazety Częstochowskiej”, wydawanym przez WOK w Częstochowie „Informatorze Kulturalnym”, czasopiśmie Literackim „Lewary”, w Almanachach Częstochowy, wydawnictwie „Słowem i barwą”, w Dzienniku „24 Godziny”, w „Alejach 3”. Przez długi okres czasu na łamach „Gazety Częstochowskiej” i „Alej 3” publikował swoje krótkie kompozycje filozoficzno-aforystyczne w cyklach: *Zapiski o świecie* oraz *Notatki z czasu*. Był też autorem licznych recenzji teatralnych dla miejscowej prasy.

Spotkałem się z nim w latach 70-tych przy okazji tworzenia pisma „Słowem i barwą”, później nasze kontakty stały się powtarzalne – w Bibliotece Pedagogicznej, przy konfrontacjach poetyckich, spotkaniach autorskich, na spotkaniach Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy.

Zawsze wspierał początkujących poetów środowiska częstochowskiego i nie tylko. Był współinicjatorem Konfrontacji Poetyckich im. H. Poświatowskiej, wspólnie z W. Gaińskim podjął się redakcji zeszytu poetyckiego „Poeci Częstochowy” wydanego w 1989r. przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego i TPCz., prowadził też kluby literackie „Metafora” i „Złota jesień”

Z Zeszytu poetyckiego, który był swoistym tomikiem wierszy wyciągniętych z szuflady, przytoczę wiersz Tadeusza „Ab urbe condita” napisany w 1981r.



Czytasz Liwiusza? To przecież śródziemnomorski mit,
Obejrzyj się wokół siebie, na jakim żyjesz świecie.
Oto wezbrało morze, nie tamto o łusce błękitnej,
Lecz twoje, szaroniebieskie i ludzie wylegli na brzeg,
Bo zapragnęli dla siebie człowieczych praw i prawd.
Zamknij więc księgę – ucieczkę przydatną samotności,
Już czas, byś wyszedł z otwartym czołem przed dom
I porozmawiał z braćmi, odrzucił wilczy sceptycyzm,
Zmieszał się z tłumem, zachłysnął powietrzem zielonym.
Patrz, z jakim pięknym mozołem powstaje feniks z popiołów,
Ten symbol ciągłego odrodzenia i zmartwychwstania znak.
Przyłóż do ziemi ucho, wsłuchaj się w twardego krok,
To idą oni, ciągnąc za włosy bagaże swoich krzywd:
Szaleni z płonących szpitali, którym odjęto ratunek,
Górnicy z zalanych sztolni, dokerzy zgięci w pół,
Poeci z białymi ustami, którym zabrano mowę,
Drwale z bieszczadzskich lasów, których wyjęto z gniazda.
Matki z dziećmi z suterren, w których ślimaczy się pleśń
I najubożsi z ubogich albowiem wydarło im godność.
Zamknij „Ab urbe condita”. Nie rzymskich kohort to krok,
To oni idą zewsząd. Wybiegnij do nich na bruk.

Tak przedstawiał credo swej twórczości sam poeta: „Urodziłem się pod znakiem Bliźniąt. Rodzice mówili mi, że na początku czerwca. Z tej przyczyny jestem duchowo rozdwojony, a moja osobowość bardzo pogmatwana. Nie znoszę małostkowości i fałszywej skromności. Cenię staroświecki honor. Nie uznaję zasady, że albo „tak” albo „nie”, choć jest to na bakier z logiką formalną. Niekiedy za prawdziwe uznaję zdarzenia: jest tak i jednocześnie nie jest tak. Szara strefa istnieje nie tylko w życiu gospodarczym i moralności. Uwielbiam samotność, lecz bez ludzi nie mogę się obejść. (...) Śmierć? Gdybyśmy po tysiącu lat odchodzili z tego świata, jeszcze większy odczuwalibyśmy żal i ból. (...) Z filozoficznego punktu widzenia jestem deterministą, choć to sprzeczne z wolnością człowieka. Stąd wywodzi się mój umiarkowany, nawet pogodny, pesymizm”.

[Czarnołęski M., Rocznik 1928 – Tadeusz Gierymski, biografia – wspomnienia – refleksje, [w:] Almanach Częstochowy 2007 s. 58-93]

Za udostępnienie zdjęcia dziękujemy żonie poety, Pani Marii Gierymskiej.



MAŁE HAUTE COUTURE

Ilona Kowalska

zdjęcia: Piotr Dłubak

Dominika Radkowska ukończyła Liceum Plastyczne im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie, kierunek jubilerstwo oraz studia w Instytucie Plastyki WSP w Częstochowie, specjalizacja projektowanie graficzne. Wynikiem współpracy z teatrem realizowanej już w okresie studiów była wystawa „Maskarada” złożona z plakatów do spektakli wystawianych w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, projektów kostiumów oraz, w szczególności – masek, a także praca z zakresu scenografii teatralnej – „Artysta w teatrze - Kazimierz Wiśniak”. Później były kolejne spektakle w teatrze i operze – uczestnictwo w przygotowaniu ich strony scenograficznej, oraz praca projektanta przedmiotów dekoracyjnych. Chociaż w zanzadru jest też malarstwo, od kilku lat bliżej jej do prac projektowo-manualnych, niż do czystych form sztuki. Tworzy więc przedmioty użytkowo-dekoracyjne: rekwizyty teatralne, maki, biżuterię, akcesoria do wnętrza i kostiumów. Maski z jej pracowni łączą w sobie coś z haute couture, biżuterii i butafory.

Tworzy maski i rekwizyty dla teatru, opery, do galerii, do kreacji projektantów mody, do wystroju wnętrz. Ta pasja zrodziła się prawdopodobnie podczas oglądania spektakli w krakowskim Teatrze Starym, a potem poznawania warsztatu pracy wybitnych scenografów. Jej realizacja zaczęła się w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie.

W 1998 roku Dominika Radkowska była asystentem scenografa przy spektaklu „Damy i huzary” w reżyserii Marka Perepeczki. Twórczynią scenografii była Dorota Korfel, krakowska scenograf i architekt wnętrz, której następną realizacją miała być „Traviata”

w Operze Nova w Bydgoszczy. Tam krakowska artystka została poproszona o wykonanie masek dla całego chóru występującego w spektaklu, czyli ponad trzydziestu osób. Scenografię realizowała Łucja Kossakowska. I tu Dorota Korfel zaprosiła Dominikę do wspólnego tworzenia masek dla śpiewaków. Widziała wcześniej jej projekty nakryć głowy przygotowywanych z myślą o pracy dyplomowej. Po wspólnym stworzeniu takiej ilości rekwizytów namówiła swoją asystentkę do zmiany tematu dyplomu. Od tego czasu powstało prawdopodobnie ponad pięćdziesiąt masek.

Ich autorka ceni i chętnie zajmuje się sztuką użytkową. Lubi też malarstwo, ale przede wszystkim tworzy przedmioty dekoracyjne – prócz rekwizytów, naszyjniki, broszki, bransolety, dodatki ślubne, drobiazgi przeznaczone na różne uroczystości, także opakowania, zakładki do książek oraz kartki ozdobne. Papier i tkanina to jej ulubione tworzywa.

W przypadku masek zawsze najważniejszy jest charakter postaci, którą maska ma przedstawiać, ale ważne są też tkaniny, które „wpadną w oko”, ozdoby, drobiazgi dekoracyjne, ciekawe koronki. Komponuje z zebranych wcześniej skarbów, albo szuka czegoś pasującego do wyobrażenia. Czasem inspirują ją zestawienia kolorystyczne funkcjonujące

w naturze, modzie, dziełach plastycznych. Przydają się różne obserwacje. Najczęściej wykorzystuje tekstylia i pasmanterię kupowaną w sklepie lub pozyskiwaną z ubrań, kostiumów, skrawki tkanin od zaprzyjaźnionych krawców, ale też muszle, gałęzie, kawałki szkła, samoprzylepne folie, własnoręcznie robione „pajęczyny”, pompony, chwosty lub koronkowe wycinanki.

Jedna z oryginalniejszych masek do wnętrza uosabia porę roku, której paradoksalnie autorka najbardziej nie lubi – zimą. Przy jej tworzeniu użyła gałęzi, szkła, „pajęczyn” z nici. Ta maska ma najwięcej naturalnych elementów i żadnych tkanin. Zastosowała w niej odrębną technikę niż w pozostałych, może właśnie ta odmienność wzbudza w niej szczególny sentyment. Zwracają uwagę jeszcze dwie inne, są to maski, które można nosić, na przykład w czasie zabawy karnawałowej. Obie wykonane są z tkanin taftowych, mieniących się dwutonowo, jedna osadzona na patyku, ma kolor zgaszonego błękitu, dodatki z brązowej gipiury i koronki w starym złocie oraz duże zwisające

kokardy. Druga przypomina zielononiebieskiego motyla z długimi, aksamitnymi czułkami, które, jak wszystkie drobne szczegóły, są niezmiernie istotne i nadają masce charakter. Wszystkim dodatkom autorka poświęca wiele uwagi, bo to one właśnie budują efekt końcowy.

To oczywiste, że maski od razu kojarzą się z Wenecją, ale jej maski nie są inspirowane weneckimi. Tym ostatnim zaczęła się przyglądać dopiero, kiedy od kilku już lat tworzyła własne. Często, kiedy ktoś ogląda jej prace, pada pytanie: weneckie? A charakter maski weneckiej jest zupełnie inny. Jest ona jednobarna, przeważnie biała, a dookoła niej zakomponowane są różne ozdoby – kołnierze, elementy oplatające twarz. Maski, o których mowa różni od weneckich kilka cech – mają bardziej nasycone kolory oraz ozdoby rozłożone na całej powierzchni. Tworzywo też jest całkiem inne.

Zrobienie jednej maski to około trzydzieści godzin pracy, czasem więcej, rzadziej mniej. Kiedy jest do zrobienia cała kolekcja, trzeba tworzyć systematycznie, codziennie. Jest wiele etapów działań: projektowanie, dobór kolorystyki, wybór materiałów. A sam techniczny proces powstawania maski wymaga wielu zabiegów wykonywanych w odpowiedniej kolejności. Twórczyni dba o to, żeby maski były różnorodne kolorystycznie. Nie ma ulubionego zestawu kolorów, każdy może stać się ulubionym. Żadnych barw nie unika i nie boi się stosować podczas pracy. Często pojawia się złoto, rzadziej srebro, choć nie jest to regułą. Bywają maski o czystych kolorach, bez żadnych „błysków”.

Chętnie opracowałyby maski do przedstawienia z rozbudowaną szatą plastyczną, gdzie mogłyby zapracować na efekt wizualny całości, może coś z Szekspira... Albo odwrotnie: proste kostiumy i rola dla masek - opisać postać. Tak było w spektaklu „Odyseja 2” w częstochowskim Teatrze, gdzie bogowie olimpijscy we współczesnych strojach wieczorowych ukryli się za maskami stanowiącymi ich atrybuty. Miło wspomina pracę przy przedstawieniu baletowym „Królowa Śnieżka” w Bydgoszczy. Stworzyła tam cykl masek zwierząt: żabę, borsuka, mysz, lisa, sowę i inne.

Pomysły ciągle się pojawiają, chciałoby się nadać im formę. Chętnie więc popracowałyby nad ubraniem kolejnych postaci teatralnych, czy dopełnieniem kreacji projektantów mody właśnie za pomocą masek i innych dodatków.



WSPÓŁPRACA PRZY REALIZACJACH SCENICZNYCH:

Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie

asystent scenografa – Doroty Korfel

„Damy i huzary” A. Fredry, reż. Marek Perepeczko (1998)

„Czarna komedia” P. Shaffera, reż. Marcin Ślawnicki (2001)

asystent scenografa – Łucji Kossakowskiej

„Pułapka na myszy” A. Christie, reż. Jan Bratkowski (2002)

projekty i wykonanie masek bogów olimpijskich oraz asystent scenografa – Andrzeja Sadowskiego

„Odyseja 2” A. Sadowskiego wg Homera, reż. Andrzej Sadowski (2006)

Opera Nova w Bydgoszczy

współpraca przy tworzeniu masek

„Traviata” G. Verdiego, reż. Bodo Igeš (1998)

maski zwierząt dla baletu, rekwizyty

„Królowa Śnieżka” (1999)

WYSTAWY:

- listopad 2001 - wystawa pt.: „Maskarada” - Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie

- czerwiec 2002 - wystawa masek w krakowskiej galerii Szalom

- wrzesień-październik 2002 - wystawa masek w kawiarni galerii „Cafe Skrzyńska” w Częstochowie

- styczeń 2004 - ekspozycja masek w Galerii Sztuki Zielenicy w Wrocławiu

- udział masek w pokazach mody - Kraków, Częstochowa, Czeladź

- kwiecień 2007 - wystawa zbiorowa „Ornament” - maski, Cafe Bełg, Częstochowa

- czerwiec 2007 - wystawa zbiorowa „Przyptyw” - malarstwo, Pub Keja, Łódź

- czerwiec 2008 - wystawa poplenerowa „Wieluń - miasto urokliwe” - malarstwo, Muzeum Ziemi Wieluńskiej, Wieluń

- sierpień 2008 - wystawa poplenerowa - malarstwo, Galeria Sztuki Art Deco, Wieluń

- sierpień 2009 - wystawa poplenerowa - malarstwo Galeria Sztuki Art Deco, Wieluń

- luty 2010 - maski na Nocy Karnawałowej w Klubie Zero, Częstochowa

- luty 2010 - maski na recitalu poetycko-muzycznym w klubie Duquesa, Częstochowa

- czerwiec 2010 - maski na Nocy Kulturalnej, Częstochowa

Częstochowskie pożegnania wokół kościoła św. Jakuba – Raławicka

Zbislaw Janikowski

Mały fragment większej kamiennej całości, szara płaszczyna, szara szarością kamienia, szara brakiem wyrazu, szara szarzyzną miejskiego bezruchu, bo ruch samochodowy to jeszcze nie wszystko w życiu miasta. Nie zawsze tak było.

Moje najdawniejsze wspomnienia lokują w czasach gdy uliczka była wąską brukowaną dróżką, wzdłuż której biegł wąski, ceglany, oczywiście czerwony ceglany chodnik. Raptem dwa domy i dwa adresy Raławicka 2 i 4 ale ten pierwszy 2, to było coś niezmiernie ważnego, a zarazem groźnego. To tu przez lata, nim pobudowano ich nową siedzibę przy ul. Dąbrowskiego, mieściły się częstochowskie sądy. Ileż emocji wiązało się z tym miejscem, bo nie tylko sprawy karne i kryminalne sądzono w tym budynku. Tu sądzono hitlerowskich zbrodniarzy i wymyślonych lub wręcz spreparowanych wrogów ludowej Ojczyzny. W latach 50-tych jako uczeń Traugutta byłem tu kilkakrotnie jako wagarowicz. Tak, proszę się nie dziwić, drzwi rozpraw sądowych były najczęściej otwarte dla publiczności, no to się chodziło. Niejeden z moich kolegów (a był taki – dziś mogę tak przypuszczać – co częściej bywał na rozprawach, niż nudnych lekcjach) wynosił z sądowych rozpraw nie tylko prawniczą wiedzę, ale i doskonale opanowaną trudną sztukę oratorską. Anastazy, bo tak miał na imię, czarował potem profesorów trudnymi słówkami, błyskawicznymi słownymi ripostami i niemal adwokackim zawodowym kręctwem – szkoda, że szkoła znudziła mu się zbyt wcześnie.

Sądy to jedno, sąsiedni budynek pod 4 też same urzędy, nic ciekawego

go szczególnie dla dziesięcioletnich chłopców. Dla nas było ogromne podwórze z wyjściami (bramą) na ul. Kilińskiego, przez klatki schodowe na Raławicką i wielką, zawsze tajemniczą sień na Dąbrowskiego. Dla nas były też wielkie piwnice, w których później rozgościł się młodzieżowy klub „Wakans”, a dziś restauracja - ciemne i pokręcone korytarze, zapach stęchlizny i tego, co pozostało po poszukiwaczach miejskich toalet – mówili, że wdepnięcie w coś takiego przynosi szczęście – trochę nie wierzę. Każda wyprawa do piwnic lub przemyskanie się przez sień albo klatki schodowe wymagała czujności i koncentracji. Z początku wszystko szło sprawnie, uczestnicy wyprawy byli karni i zdyscyplinowani, ale stan wewnętrznego napięcia doprowadzał wreszcie do wybuchu. Ktoś krzyknął, ktoś zachichotał i to wystarczyło, cała grupa z potwornym wrzaskiem rozpoczęła ewakuację (czytaj ucieczkę), która zazwyczaj kończyła się w cieniu kasztanów na placu kościoła św. Jakuba. A uciekać należało i było przed czym, podwórza i domu bronił bowiem stróż Urbaniak, który ze swego mieszkania na parterze podwórkowej oficyny widział wszystko, który również świetnie władał osadzoną na długim drzewcu brzoźową miotłą. Nikt również nie stawał później w naszej obronie jako niesprawiedliwie pogonionych a czasem nawet pobitych po nogach (ową miotłą) – wszystkim wiadome było, że stróż był do pilnowania, a chłopaki do psocenia. Tylko tyle i aż tyle.

Pozostała jeszcze (widoczna do dziś) ciekawostka architektoniczna – w zasadzie nieużywany ganek lub sionka do której wchodziło się po

schodkach od narożnika Dąbrowskiego i Raclawickiej. Jednak takie wejście po schodach nie było żadną atrakcją, ten obiekt należało zdobyć z zewnątrz pokonując bariery architektoniczne i psychiczne. Pionową ścianę atakowało się od strony ulicy – wystarczyło stojąc na palcach uchwycić górną krawędź murku, oprzeć (koniecznie prawą) stopę o wystającą z muru a zaślepioną rurkę, podciągnąć ciało, oprzeć – lewą – stopę o cieniutki gzymsik, zdrzeć drugą nogę na górny parapet muru i już, było się na górze. Próbowałem w myślach powtórzyć to ekwilibrystyczne ćwiczenie – nie wychodzi. To było też dobre miejsce do zabawy i do tej pory nie rozumiem dlaczego



Autor na rogu Raclawickiej i Dąbrowskiego.



Autor w 1940 r. - przed domem, ul. Raclawicka 22

tym, co mieszkali za drzwiami tego ganku, przeszkadzała nasza zabawa. Skoro przeszkadzała, to wynieśliśmy się, a nasze miejsce zajęły dziewczyny – naniósł piasku, liści kamyków, lalek i wózeków - oczywiście bawiły się w „dom” i gotowały. Te dopiero dały popalić tym za drzwiami!

I czy na tym mam zakończyć opowieść o Raclawickiej? Nigdy! Wszak to moja ulica, moja malutka ojczyzna. Na tym samym rogu po przeciwnej stronie była kawiarnia „Teatralna”, ale o niej już było. Na drugim narożniku, tam, gdzie dziś jest biurowiec „Jantar”, był komisariat Milicji, śródmiejska „Jedynka”. Trzeba przyznać - pacyfikował dzielnicę, bo nie zawsze było tu przyjemnie. Pamiętam tą „moją” Raclawicką gdy jeszcze była śródmiejskim zaułkiem, bez wylotu, z jedną lub dwoma świecącymi się latarniami, bez jezdni i bez chodników, czarną od wysypanego na nią hutniczego hasiu. Ten haś budził wśród tubylców niemałe emocje, brudził w czasie deszczu, kurzył w suszę, wpadał do butów przedzierając i tak już pocerowane skarpetki, słowem był powodem wielu nieszczęść. Hasiowa nawierzchnia miała też swoje dobre strony, największe podszczone kałuże wsiąkały w nią błyskawicznie, nigdy nie było tu zimowej ślizgawicy a i dzieci unikały zabaw na tym niezbyt przychylnym dzieciakom środowisku. Czarna hasiowa rynna przebiegała wąwozem ograniczonym od południa wysokim kamiennym murem Liceum Sienkiewicza a od północy monstrualnym, masywnym, na 3 metry wysokim płotem ogrodów Piwnickiego. Wąwóz kończył się otwartą przestrzenią gdzie na słonecznej „polanie” stały dwa domy Raclawicka 22 (mój) i 24. Ten mój obrośnięty był dzikim winem, które szczególnie pięknie wyglądało jesienią gdy czerwieniło się winną czerwienią jesiennych liści. Dalej były jeszcze 3 małe parterowe domki, w jednym z nich mieszkał fryzjer, pan Mieruszyński, z córką (nie pamiętam imienia tylko tyle, że ładną blondynką była) i synem Krzysiem. Troszkę dalej tajemniczy skryty wśród drzew dom mitycznej (dla mnie) pani Sękalowej i tyle. Dalej nie było nic, pogrodzone drutem kolczastym ogródki - to w tych „zasiekach” w 16 stycznia 1945 roku uwięzły tabory ucieka-

jących z miasta Niemców. W latach 50-tych ogrody zamieniły się w tereny wystawowe częstochowskiej dorocznej Wystawy Przemysłowo - Rolniczej.

To śródmiejskie odludzie sprzyjało różnym ciemnym typom. W ciemnościach i pustce zdarzały się rabunkowe napady na wieczornych przechodniów. To tu pozbawiono kilkakrotnie znanego częstochowskiego lekarza pięknej podbitej futrem i ozdobionej kołnierzem z wydry szuby. Nie byli to mieszkańcy ulicy, tu wszyscy się znali, to gościnnie wystąpili specjaliści z innej dzielnicy. Z czasem zaczęła się realizować idea, że „lud wejdzie do śródmieścia” i wszedł u „Klepackiego” zamieszkali amatorzy denaturatu, nie mieszkali jednak zbyt długo, denaturat był naprawdę skażony.

Na Raclawickiej do dziś oglądać można typowe kiedyś dla Częstochowy budynki z białego kamieni wapiennego, to wspomniany wyżej a usytuowany mniej więcej w połowie ulicy po jej parzystej stronie pod 14 tzw. dom Klepackiego. Jeszcze bardziej charakterystyczny jest jedyny na całej ulicy po jej nieparzystej stronie dom pod 5. Wolnostojący z centralnym wejściem od strony ulicy, architekturę jego zeszepeciono kiedyś jakimiś bezsensownymi unowocześniającymi remontami. Dom ten pamięta jeszcze carskie czasy i to te dziesiętnastowieczne. Nas chłopców intrygowali szczególnie mieszkający tam aktorzy częstochowskiego teatru a wśród nich pan Orliński. Teatr mieli blisko, dosłownie na wyciągnięcie ręki, a dodatkowo pod bokiem kawiarnię „Teatralna”. Spotkanie z panem Orlińskim było nie lada zaszczytem, zawsze coś zagadał, czasem poczęstował cukierkiem, przyjmowało się wtedy postawę zasadniczą i szarmancko, szurając nogą kłaniało. Zresztą te dobre obyczaje wbijano nam do głów od lat najmłodszych.

Raclawicka mimo swych licznych wad miała również wiele zalet a największą był spokój i cisza w samym centrum miasta. A dziś zmieniono ją w śródmiejską autostradę po której mkną ci, którzy obowiązujące przepisy ruchu drogowego mają za nic.

Zdjęcia pochodzą z prywatnego archiwum autora.

UŚMIECH JEST ZA DARMO

z Marcinem Królem

rozmawia Dominika Radkowska

zdjęcia: Piotr Dłubak

MARCIN KRÓL - ARTYSTA KABARETOWY, MUZYK, PLASTYK, INICJATOR WIELU PRZEDSIĘWZIĘĆ SCENICZNYCH. W CZĘSTOCHOWIE, KRAKOWIE I ZIELONEJ GÓRZE TWORZYŁ LUB WSPÓŁTWORZYŁ FORMACJE: QUASI-KABARET RAFAŁA KMITY, TROUBA, CUDZOZIEMCY, NIEMY, MADE IN CHINA I KILKA INNYCH. WIOSNĄ 2011 ROZPOCZĘŁY SIĘ W TEATRZE S W CZĘSTOCHOWIE PRÓBY GRUPY TWÓRCZEJ PROWADZONEJ PRZEZ MARCINA KRÓLA I BARBARĘ WĄGIEL POD PATRONATEM KRZYSZTOFA STACHERCZAKA. DO JESIENI GRUPA POD NAZWĄ KRÓLS PRZYGOTOWAŁA DWA PROGRAMY KABARETOWE I SPEKTAKL DLA DZIECI „BAJKOWY BAŁAGAN”.

Kiedy pomyślałeś o kabarecie jako sposobie na Twoje życie?

Nigdy. Nie myślę o jakimkolwiek działaniu jako o sposobie na życie. Życie to życie, sposobów jest mnóstwo, myślę, że więcej niż ludzi na świecie, czyli ponad siedem miliardów sposobów na życie. Kabaret jest elementem życia. To, że przez dłuższy czas utrzymywałem się z kabaretu, nie znaczy, że jest to sposób na życie. Dla mnie sposobem na życie jest poznawanie jego nowych sfer. Najciekawszą istotą jest człowiek – ja i ludzie wokół mnie. Oni często determinują to czym się akurat zajmuję. Czy to jest film, czy inne działanie artystyczne, czy działania na froncie budowlanym lub architektonicznym, bo też lubię tego typu wyzwania. Lubię się pobawić w animacje komputerowe. Lubię kabaret, ale także teatr, fajnie, jeżeli jest to komedia, bo ta jest dla mnie interesującą formą wyrazu scenicznego, która uczy przez żart. Potrafi powiedzieć coś bardzo ważnego w lekki sposób i to najlepiej zostaje w pamięci. Można mieć sposób na zrobienie skeczu, na wymurowanie ściany albo zrobienie ładnego elementu architektonicznego – jasne, że każdy ma swój sposób, ale spójrzmy ile tych sfer w życiu jest. Ja chyba go jeszcze dla siebie nie znalazłem i nie wiem, czy kiedyś znajdę. Tak naprawdę nigdy nie zajmowałem się tylko kabaretem. Grając w kabarecie Made in China, próbowałem też przedsięwzięć muzycznych. Miałem w Zielonej Górze zespół muzyczny „Public”, który swego czasu liczył jedenaście osób. To też był sposób na życie.

Pierwszą formacją, w której występowałeś był Quasi-Kabaret Rafała Kmity. Jak trafiłeś do tego kabaretu?

Locko Richter, którego poznałem w wieku 16-17 lat, zobaczył anons, że Rafał Kmita poszukuje muzyków do kabaretu. Zaproponował, żebyśmy poszli na casting do teatru. Zaprezentowaliśmy nasze utwory inspirowane muzyką bałkańską, która była wtedy mało znana. Rafał dał nam teksty, zrobiliśmy muzykę i wygraliśmy z Quasi-Kabaretem trzy razy pod rząd „Śpiewać każdy może” w krakowskim Klubie Pod Jaszczurami, więc zaproszono nas jako jury. Tak zaczęła się ta przygoda, potem był program kabaretowy i pierwsza PAKA w 1993 roku.

„Zakłada co rusz nowe formacje, to muzyczne, to teatralne, to kabaretowe” To słowa o Tobie z krótkiego biogramu. Które z tych formacji funkcjonują do dziś? Co w Twojej pasji okazało się najtrwalsze?

Ja (śmiech). Niektóre „zjawiska” przemijają, inne istnieją dalej beze mnie – jak kabaret Made in China. Nasze drogi artystyczne się rozeszły, ale dalej jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Teraz w trójkę gramy w filmie „Obława” pana Marcina Krzyształowicza. Bardzo cieszę się na to spotkanie, bo jesteśmy rodziną. Ale w rodzinie też zdarzają się różne rozdzwięki. Ja nie zniosłem już tego, że jesteśmy obwarowani producentami, menadżerami, właśnie polityką kabaretu. A sztuka moim zdaniem to jest wolność. Po to robię sztukę, bo chcę się czuć człowiekiem wolnym. Formacje zakładałem dlatego, że piszę dużo piosenek i skeczów, mam dużo pomysłów, jestem jednocześnie muzykiem i tekściarzem. Do zakładania co rusz nowych formacji mobilizowało mnie to, że ludzie bardzo chcą pracować. W Zielonej Górze było ich siedem – takich, które zaistniały w telewizji, na festiwalach, zdobywały nagrody. Ja nigdy się z nimi nie utożsamiałem do końca, ale to co zostało tam po mnie, mogę teraz oglądać. Również warsztaty, które prowadziliśmy w klubie „Gęba” ze Sławkiem, Kasią i Arturem z kabaretu Made in China, dawały efekt. Tworzyły się zespoły i potem robiliśmy występ. Po takich warsztatach rodziły się trzy, cztery grupy, które nadal istnieją. Można wymienić Hlynur, Babeczki z Rodzynkiem, Nowaki.

W jakim momencie spotkałeś Władysława Sikorę i kim jest dla Ciebie ten facet?

Kim jest dla mnie ten facet? Guru. Władka Sikorę poznałem w 1993 roku na warsztatach PAKI w Łazach. Miałem długie włosy, kolczyk w uchu, kazał mi go wyjąć, włosy spiąć i kazał grać. Więc grałem. Byłem wtedy pianistą Rafała Kmity, właśnie wygraliśmy PAKĘ. Władek nieodmiennie roztacza wokół siebie czar. Nigdy mnie nie zdradził, nigdy siebie nie zdradził. Cały wyjazd do Zielonej Góry był zdeterminowany jego postacią, bo zaprosił mnie w 2001 roku jako asystenta reżysera do „Baśni o ludziach Stąd”. Pojechałem na plan, pracowaliśmy siedemnaście dni i zostałem już w Zielonej Górze. Grałem w spektaklu Władka „Żżżżżż”. Pracowałem z nim przy dwóch filmach. Bardzo wiele godzin spędziliśmy na wspólnych rozmowach, mieliśmy nawet kącik filozoficzny w klubie „Gęba” w Zielonej Górze, gdzie poruszaliśmy przeróżne tematy jak terrorizm, wiara katolicka. Uczestniczyli w tym panowie prowadzący zajęcia z filozofii w Uniwersytecie Zielonogórskim i chętni, którzy chcieli brać udział w tych spotkaniach. Władek dalej prowadzi zajęcia z młodymi ludźmi. Grał w kabarecie „Adin”. Bardzo pomógł Zenonowi Laskowikowi w powrocie na scenę. Potrafi być też człowiekiem bardzo twardym i zdecydowanym, bo taki powinien być reżyser. Reżyserem jest świetnym. Po dwóch próbach wie na co stać aktora i na trzeciej próbie ma już wszystko rozpisane w kolorach i każe na czerwono grać teatralnie, na czarno po swojemu, na niebiesko miękko, a na zielono grepsem. Nie chcę mówić ile się od niego nauczyłem, bo mógłbym powiedzieć, że wszystkiego się od niego nauczyłem. Ale po drodze spotkałem jeszcze innych ludzi.

Kim są inne postacie, które Cię determinują?

Rafał Kmita nauczył mnie dbać o słowo, literaturę, zauważać jak piękny jest język polski. Ja już wtedy pisałem – piosenki dla zespołu Caterpillar, z którym graliśmy w Plastyku. Z Locko Richterem grałem przez dwa lata, również u Rafała Kmity. Darek Starczewski to warsztat aktorski.

W początkach Kabaretu Rafała Kmity prowadził z nami pierwsze warsztaty. Świetny aktor, aktor totalny, myślałem, że bardzo mało wykorzystany – może dlatego, że nie za bardzo daje się wykorzystywać – i to dobrze z jego strony. Potem było spotkanie z całą ekipą Zielonej Góry. Wojtek Kamiński, Marylka z kabaretu Jurki, Sasza, Jerzyk z kabaretu Made in China, Sławek – same perełki, można powiedzieć. Współpraca z Grzesiem Halamą też dużo dała. On jest istnym gejerem pomysłów i pętarą sceniczną.

Warsztaty z Olgą Sz wajgier, artystką światowej sławy, wokalistką, która ma rozpiętość skali głosu pięciu oktaw. Śpiewa muzykę eksperymentalną, bardzo trudną dla nieprzygotowanego słuchacza. Można u niej odkryć niesamowite sfery muzyczne – i mroczne i jasne. Zajęcia z nią były warsztatami psychologicznymi, po nich byliśmy innymi ludźmi. Zaczęliśmy widzieć w człowieku co innego, widzieć głębiej, a może właśnie na zewnątrz, bo aurę widać na zewnątrz. Następnym takim spotkaniem był trener sztuk walki Remigiusz Borda. Chodziłem do niego na zajęcia z formy Bujinkan. To człowiek, który miał bardzo powichrowaną drogę życiową. Energia i siła spokoju, jaką ten człowiek ma w sobie oraz technika uprawianej przez niego walki zrobiły na mnie duże wrażenie. Z bardziej interesujących spotkań z ludźmi wymienić chciałbym spotkanie Basi – mojej towarzyski życia, która zajmuje się tym samym i niestety czasami mnie prześciga, chociaż jest młodsza.

Z Krzyśkiem Stacherczakiem znamy się od jakichś dwudziestu lat, ale nie mieliśmy nigdy kontaktu jako współpracownicy na poziomie artystycznym. Obawiałem się tego faktu, ale Krzysztof bardzo dobrze potrafi rozumieć sytuację, bardzo się cieszy z naszej współpracy, jest nią pochłonięty. Ma wycucie artystyczne. Jest człowiekiem, który jako jeden z niewielu od jakichś dwudziestu lat stara się robić coś, żeby Częstochowa nie była prowincją. Kiedy mieszkałem w Zielonej Górze, nie odczuwałem aż tak prowincjonalnych tendencji. W Częstochowie mam wrażenie,

ze najważniejsze jest gadanie. Zrobmy to albo tamto. Ludzie – nie gada się tylko idzie i robi – na tym to polega. Tego w Częstochowie brakuje. Ja się tego nauczyłem od Władka Sikory.

Jesteś częścią Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego. Jak wygląda życie polskiego artysty kabaretu?

To zajmuje całą sferę egzystencji. Żeby móc się z tego utrzymać trzeba zagrać siedem-osiem razy w miesiącu, liczymy to razy dwa dni, to szesnaście dni pracy, kiedy jesteś w aucie, w hotelu. A jeszcze trzeba poprobować – to dwadzieścia dni. Zostaje dziesięć dni dla siebie, a tak naprawdę tych dni też nie ma, bo zajmujesz się pracą z młodszyimi, masz próbę muzyczną, bo coś trzeba załatwić. To jest zawód i to zawód wędrowny. Nie każdy to znieśnie. Jak człowiek ma dwadzieścia parę lat, to jeszcze nie ma problemu. Ale potem, jeżeli to nie daje jakiegoś wymiernego efektu finansowego, to może być ciężko. Ja mam tę wolność, że mogę tego nie robić, wziąć się za wiele innych rzeczy. Mogę iść na budowę, lubię to, nie męczy mnie kopanie dołów. Ale są na przykład poloniści, którzy poświęcili swoje życie kabaretowi i nie bardzo potrafią robić coś innego. Ogromne ryzyko. Ja już jestem poza tym ryzykiem, już dokładnie wiem w co się pakuję.

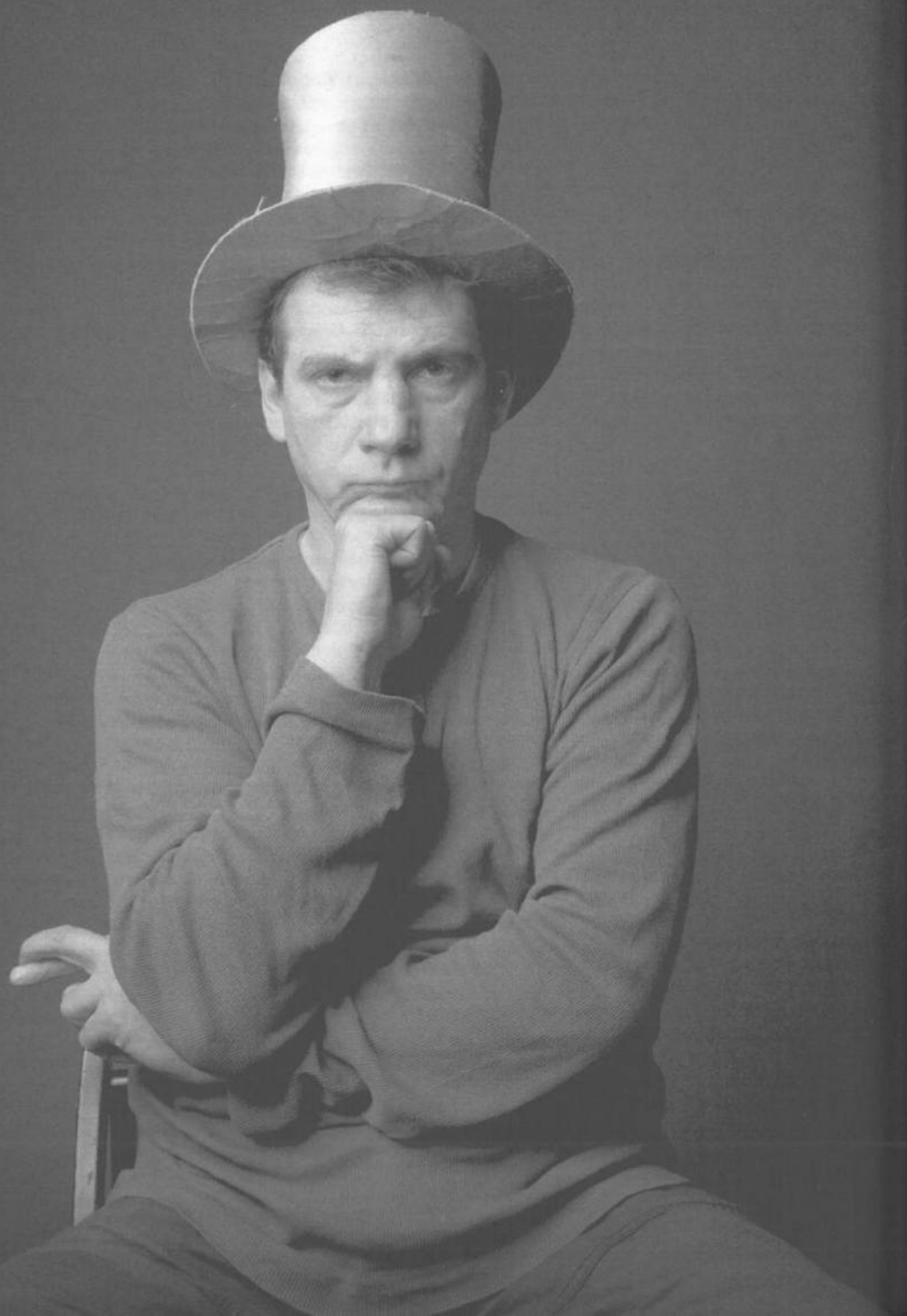
Kiedyś w Liceum Plastycznym myślałam, że będzie Cie ciągnąć w stronę muzyki. Poszedłeś chyba w większym stopniu w stronę satyry, ale myślę, że kabaret to forma, w której łączysz różne umiejętności.

W patrzeniu na scenę pomaga malarstwo. Liceum plastyczne dało bardzo wiele elementów, z których mogę korzystać. Scena jest konglomeratem tego wszystkiego. To tam dzieje się to co Ci się wymyśli w głowie. Scena to zamknięty w czasie fragment naszego życia, naszej wyobraźni. Na zdjęcie czy obraz też się patrzy przez jakiś czas, żeby w nim zobaczyć niuanse. Kiedy chodziłem do liceum plastycznego, malarstwo czy rzeźba nie robiły na mnie takiego wrażenia, jak parę lat temu, kiedy pojechałem do Paryża. Poszedłem do Luwru i zacząłem przyglądać się rzeźbie greckiej jak jest wykonana. Spędziłem tam dobrą godzinę, a i tak nie zaspokoilo to mojej ciekawości. Tam trzeba być tydzień, żeby zobaczyć co jest w Luwrze. Jeżeli w czymś widać pracę i efekt, to na to patrzy się długo. A kabaret i scena łączą w sobie i piosenkę i taniec i monolog i skecz. Film jest następnym krokiem, który łączy jeszcze więcej. U mnie w kabarecie też jest teatr. To nie mogą być tylko trzy głowy gadające do mikrofonu, bo bym zdechł z nudów. Musi się coś zdarzać wokół tego, czyli tę całą przestrzeń, którą mi daje teatr i scena trzeba wykorzystać jak najmocniej. Ja i tak wykorzystuję to słabo, jestem w wielu momentach pewnie nieudolny w tym co robię. Staram się najlepiej jak potrafię. Pewnie mogę lepiej, gdybym miał na to więcej czasu, zajmował się tylko tym, może byłoby to lepsze. Na ile możemy z całym zespołem, robimy to na sto procent. Nie ma objawiania się. Bywasz na próbach i widzisz ilość powtórzeń. Tak jak kiedy malowaliśmy taborety w martwej naturze – dopóki nie wyszło, powtarzało się, żeby uzyskać perspektywę.

Miewasz tremę?

Występ przed publicznością dla mnie jest zawsze związany z ogromnym stresem. Wiem, że tego nie widać, bo jak się gra prawie dwadzieścia lat, to jest już rodzaj rutyny, ale dobrej rutyny. Jestem przygotowany tekstowo, jestem rozgrany fizycznie, przygotowany psychicznie do występu i znoszę ten problem w miarę wygodnie, ale trema i stres towarzyszą mi nieodłącznie.

Co jest dla Ciebie bardziej satysfakcjonujące – pisanie skeczy, reżyserowanie, czy występy przed publicznością? Jeśli w ogóle taki podział można przeprowadzić.



Myślę, że można. Nie zważając na ten stres lubię scenę, lubię możliwości, jakie ona stwarza i jakie daje efekty. Biorąc pod uwagę fakt, że teraz występujemy z około osiemnastoma osobami, na pół godziny przed występem mówię: żadnych pytań, ja już nic nie wiem, teraz sobie radźcie sami, nie interesuje mnie ile razy popełnicie błąd. Ten kto zrobi najwięcej błędów, wygrywa. Tak jest najłatwiej, bo nie chcę obciążać się jakąś odpowiedzialnością. Bądźmy odpowiedzialni na próbach, natomiast na występach bawmy się tym co wypracowaliśmy. Jak na próbach jest dobra, rzetelna praca, to występy naprawdę idą odpowiednio. Z występu na występ jesteśmy coraz lepsi. Kręci mnie reżyseria. Muszę przyznać, że jest to taki moment spotkania z człowiekiem i z materią tekstu, gdzie można robić właściwie wszystko i to zależy tylko od naszej wyobraźni. Samo granie jest innym doznaniem. Z reżyserowaniem jest tak, jak kiedy ktoś przykłada się do zrobienia potrawy – kucharz, który jest fenomenalny, wkłada serce w tę potrawę. Potem kiedy ktoś ją je, to czuje, że to jest pyszne i to jest jego sukces. Ale kucharza przy tym nie ma. On musi wiedzieć z góry, że przygotował dobre danie. Reżyseria jest takim kucharzeniem. Pisanie tekstów ma dla mnie kilka odcieni. Piszę teksty na zamówienie, piszę teksty, których nigdy nikomu nie chciałbym pokazać, bo są na przykład wulgarne, trudne – to zależy od emocji. I piszę też wtedy, kiedy dopada mnie, ot po prostu, wena.

Jak opisałbyś moment weny?

To jest niesamowite, że nigdy nie mogę uchwycić tego momentu. Często go przeżywam, a nie jestem w stanie go przeanalizować, bo on od razu przelewa się na kartkę i ucieka. Zawsze chciałem sformułować pojęcie weny, a to jest jakiś błysk, jakaś supernowa, coś co się pojawia znikąd i zostawia po sobie ślad. Niesamowity, niezatarty ślad, który potem ogląda widz. Z niczego, z jakiejś plazmy otaczającej nas i będącej w środku nas pojawia się coś, co jest materialne, czyli tekst. Potem kucharz-reżyser bierze się za to, gotuje potrawę, potem aktor pokazuje to widzom. Na tych trzech etapach potrafię funkcjonować, tak można by podzielić tę moją osobowość. Będąc w środku akcji – jako aktor kontroluję siebie; jako reżyser wolę puszczać wodze fantazji; jako tekściarz – kiedy napiszę tekst, zostawiam go na parę dni, dopiero potem do niego wracam, zaczynam czyścić, sprawdzać go na scenie, dorzucam pewne rzeczy, inne wyrzucam. Nad tekstem pracuje się pół roku, rok. Wtedy on po kilku pokazaniach scenicznych, kilku sprawdzianach dostaje tego ostatecznego literackiego szlif. To wszystko wygląda tak lekko potem w kabarecie. A to jest ogromna praca i naprawdę masa drobiazgów. Kiedy się szyje ten kabaretowy strój, to najpierw trzeba zdjąć miarę, potem pociąć materiał, następnie ubrać w to aktora, włożyć mu do butonierki chusteczkę, może kwiatek, do ręki dać rekwizyt i dopiero go pokazać. Te detale przychodzą z czasem. Nie da się tego w całości wymyślić, czy namalować jak martwą naturę, którą mamy przed sobą i trzeba ją tylko odzwierciedlić. Każdy występ jest inny, mówi o tym, że można czegoś dodać lub ująć. Publiczność weryfikuje nasze pomysły, odbiera tak jak chce. Gdyby nie publiczność, po co byłoby nasze granie?

Skąd się biorą ... skecze?

To kwestia obserwacji. Ja akurat działam na gruncie purnonsensu i obyczajaju. W politykę nie lubię się bawić, nie cierpię polityków, bo przez nich cierpię i ja i reszta świata. A purnonsens i absurd dają szansę pofruwać. Obyczajowość pozwala na bezpośrednie spotkanie z problemem, który draży też widza. Purnonsens to zabieranie widza w jakiś obcy świat, którego nie zna, który sam mu wymyśliłeś. Myślę, że to jest dużo ciekawsze niż komentarz tego co dzieje się polityce.

Który z Twoich skeczów uważasz za najbardziej udany?

Zdziwisz się, bo to rzecz mało popularna. To skecz „Edmund”. Jest najbardziej absurdalnym, mocny skeczem; teatralnym – tak jak lubię, do którego mam ogromny sentyment. Ja wiem, że „Lekcja angielskiego”, „Kibic”, „Żydzi”, „Ślimaczek” – to są rzeczy dużo bardziej znane, lubiane i śmieszne. Ja mogę ocenić inaczej. Lubię grać tamte rzeczy, chociaż niektóre gram tyle lat, że chciałbym już je wyrzucić do lamusa, ale widzę, że one ciągle działają. Natomiast „Edmund” jest rzeczą, nad którą długo siedziałem, do pierwszej premiery tutaj dopisałem jeszcze tekst, który go rozwinął i jak zagramy taki wieczór „Kabaret Króls teatralnie” to ten skecz na pewno się w tej paczce znajdzie. A sentyment mam przez to, że jest i obyczajowy, i absurdalny, i nie ma w nim polityki. Udało się tutaj te dwie formy – obyczajowość i absurd – tak powiązać jak to potrafi Vonnegut, czy Boris Vian, czy Topor. To są twórcy, którzy są mi bliscy. Myślę, że tu trafiłem w ich strunę. Oczywiście brzmi to bardzo pysznie, ale tak to czuję.

Zrealizowałeś własny film pełnometrażowy „Od wschodu do zachodu słońca”, nagrodzony w Lubomierzu i Gdyni, wystąpiłeś w kilku filmach Wytwórni A'YoY. Zapewne masz w zanadrzu kolejne projekty filmowe?

Film to forma, dla której trzeba się poświęcić, wyjąć z reszty życia przez trzy tygodnie. Mówię tylko o planie zdjęciowym, a jeszcze potem dochodzi postprodukcja, czyli montaż, udźwiękowienie, film kosztuje straszne pieniądze – ale nie u mnie. Ja jestem w stanie zrobić film tanio. Ale to dzięki grupie twórczej, dzięki ludziom, którzy chcą to robić. Mam napisany scenariusz świetnej tragikomedii, jest gotowy. Gdybym miał trzydzieści pięć tysięcy, to jutro zaczynam kręcić. Nazywa się „Ten dzień”. Opowiada o parze młodych, którzy tego dnia mają brać ślub. Pan Młody jest weterynarzem, jedzie do konia, który właśnie doznał kontuzji. Wtedy wybijają mu szybę w samochodzie i nie ma jak dotrzeć na swój ślub. Idzie na PKS i zaczy-

nają się problemy, bo autobus nie przyjeżdża. Wszystkie środki transportu, komunikacji, cała technologia – są przeciwko ich małżeństwu. To taka krótka eksplicja reżyserska. To co się wydarza w tym filmie jest od łez do „wściku ze śmiechu”. To inna konstrukcja scenariusza, niż w filmie „Od wschodu do zachodu słońca”, bo tamten film był eksperymentem. To były cztery skecze, które połączyłem w całość – i to czuć, nie mówię, że nie. Ale zrobiliśmy coś takiego za tysiąc pięćset złotych i pojechaliśmy z tym do Gdyni i to na zaproszenie Festiwalu. Kiedy do mnie zadzwonili, nie uwierzyłem i odesłałem do mojego producenta. Byłem kompletnie zdziwiony. Żeby było zabawniej film został bardzo przychylnie przyjęty przez krytykę i publiczność. To nic, że nie dostałem nagrody, sam udział w Festiwalu to nagroda. Ale miło, że rzeczy, które robisz do szuflady, czy dla znajomych, kiedy ujrzą światło dzienne, to ludziom się podoba i same potem żyją swoim życiem. Nie robię czegoś dla efektu, nie zakładam, że to ma być takie, grane tyle razy, przynieść tle pieniędzy. Może dlatego nie jest to sposób na życie, a po prostu życie.

Kabaret Króls jest bardzo liczną grupą. Czy podczas castingu zrezygnowałeś z kogoś, czy też jest tak, że casting trwa również podczas Waszej pracy nad programem?

„Casting trwa” – to jest dobre określenie, bo chyba nikt nie jest w stanie w drużynie amatorskiej na pierwszym spotkaniu wychwycić fenomenów. A takie fenomeny są w tym zespole i one się odkryły po jakimś miesiącu pracy. Dlatego zaprosiłem wszystkich na zajęcia warsztatowe. Obecnie w składzie jest osiemnaście osób, z czego aktywnie w przedstawieniach będzie uczestniczyło dwanaście-czternaście. Każdy dostał tę samą szansę, możliwość sprawdzenia się na scenie. Dawałem tę szansę po kilka razy, ale teraz już jestem ostrzejszy w ocenie. Muszę podchodzić szczerze do zespołu. Nie można im mówić, że jest dobrze, kiedy nie jest dobrze – szczególnie

aktorowi, który pokazuje się na scenie przed ludźmi, bo byłoby to dla niego krzywdzące. Dlatego trzeba dbać o to jak ludzie grają. Jest przynajmniej osiem osób, które są gotowe do występów publicznych już teraz. Nie licząc mnie, Basi i Jacka Stawiarskiego, który jest genialnym pianistą, kompozytorem, ma niesamowite emploi sceniczne. Jest człowiekiem mocno dorosłym, a ma serce młodzieńca.

Ta wielość osób daje nam szansę wielu spojrzeń i samego spotkania grupy twórczej, bo tak się utarło, że jest to Kabaret Króls, a ja uważam, że jest to grupa twórcza – tak to traktuję. Nie przyjechałem tutaj zakładać kabaretu, ja tu przyjechałem nie zakładać kabaretu. Zostawić to. Dopiero Krzysiek powiedział: zrób coś. Więc zwołałem ludzi i tak się tutaj bawimy.

Uczenie „bycia” na scenie, robienie kabaretu jest na pewno zajęciem niełatwym. Czy, jak powiedziałaś, są także chwile, kiedy bawisz się przy tym?

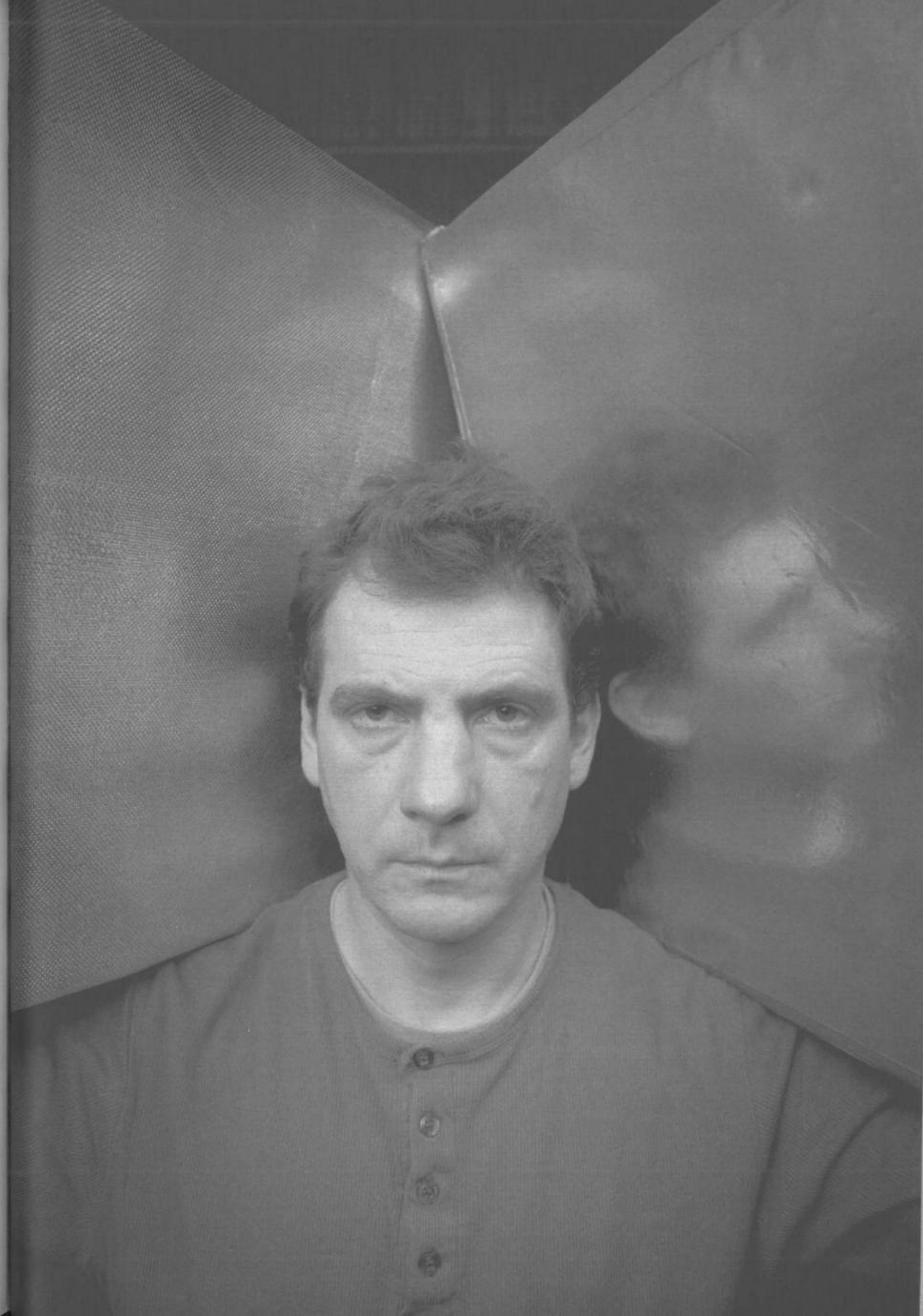
Okazało się, że warto jest – nie tyle poświęcić cokolwiek – właśnie pobawić się, bo dla mnie cały czas jest to zabawa. Nie będę robił kabaretu za wszelką cenę. Kompromis, cóż, można w życiu iść na kompromis, bo ono z nich się składa. Ale sztuka nie lubi kompromisów.

Jakie jest po półrocznej pracy w Częstochowie Twoje wyobrażenie o powstałym zespole?

Jest to grupa przypadkowych, ale uformowanych już ludzi. Teraz trzeba te formy rozbić i poskładać od nowa. Jeżeli to się uda i taki człowiek jest na tyle obdarzony umiejętnością zaufania i poddania się działaniom instruktora czy reżysera, to jest bardzo pożądane. Jeżeli jeszcze daje od siebie, sam wymyśla, to jest cudowne – kiedy oni zaczynają sami tworzyć a ja już nie jestem tym koniecznym, niezbędnym. Już się zaczęły te pierwsze kroki – dopisywanie tekstu, podrzucanie koncepcji. Nie myślałem, że jesteśmy w stanie tyle zrobić. Dwie i pół godziny materiału scenicznego plus czterdziestominutowa bajka – ostatni wytwór naszej fantazji – to jest bardzo dużo jak na amatorski skład w ciągu pięciu miesięcy. Wokół nas – mnie, Basi i Krzysztofa Stacherczaka, który nam udostępnił to miejsce i wręcz powiedział, że będę idiotą, jeżeli nie skorzystam z jego propozycji – tworzy się środowisko twórcze przyciągające moich przyjaciół sprzed lat. Możemy się tu spotkać na występach. Nie było mnie w Częstochowie dziesięć lat, byłem w Zielonej Górze i jeździłem po kraju grając. Chciałem nazwać kabaret Grupa Twórcza, bo faktycznie coś takiego powstało. Ale współpracownicy uparli się, żeby moje nazwisko pojawiło się w nazwie. Tak naprawdę nie jestem do końca zadowolony z nazwy Króls. Na razie tak przyłgnęło, ale myślę, że kiedy ten zespół stanie się na tyle solidny, że będzie mógł funkcjonować w świecie kabaretu w Polsce, to pewnie zmienię nazwę. Poczekam z tym, bo na razie nie planuję nic takiego, dobrze mi tu gdzie jestem, spełniam się jeżeli chodzi o pracę z dużą grupą ludzi. Nie zależy mi na robieniu kariery kabaretowej, ponieważ ja już te lata mam za sobą, a po drugie – ta kariera nie prowadzi do niczego prócz pieniędzy, a to dla mnie jest za mało, jeżeli chodzi o sztukę. Sztuka powinna prowadzić troszkę dalej i może nie pierwszym celem powinny być pieniądze, ale to już jest rozmowa o świecie, nie o kabarecie. Kabaret jest jedynie częścią świata.

Króls to kabaret „wieloczynnościowy”. Przygotowaliście nie tylko programy kabaretowe, również bajkę dla najmłodszych. Co jeszcze planujecie wziąć na warsztat?

Do przyszłych wakacji chciałbym przygotować dwie sztuki teatralne. To są dosyć duże przedsięwzięcia, bo zagranie sztuki, w której aktor gra pełną rolę przez ponad godzinę, spotykając się z jedną postacią, to jest wyzwanie.



I na to jeszcze zespół nie jest gotowy, nawet ja sam nie wiem, czy jestem gotowy na zagranie takiej roli, ale to nie znaczy, że nie mamy się z tym zmierzyć. Chodzi o to, żeby próbować, ale nie iść na łatwiznę.

Traktujesz kabaret bardzo poważnie, mimo że to lekka forma.

Ona może być lekka, ale wcale nie musi. Jeżeli jest lekka to wydaje mi się, że jest trochę głupkowata. A ja uwielbiam z siebie robić głupka – ale żeby to nie było głupkowate. Kabaret może nieść ze sobą niesamowita informacja, niezwykle relaks i dystans. Bo jeżeli potrafimy z siebie żartować, to znaczy, że jest w nas jakaś ludzka cecha, że mamy jakieś spojrzenie z zewnątrz na siebie, nie tylko z poziomu ego, ale z poziomu drugiego człowieka, który na nas patrzy. Bo my patrzymy subiektywnie, a obiektywnie jesteśmy oceniani. Warto spojrzeć na to jak na nas patrzą ludzie. Wyobraźmy sobie, że wychodzę i nie liczę się z tym jak widzi mnie publiczność. Nie ma szans na taki występ, ja muszę się z tym mierzyć, myśleć o tym. I to co chcę jej powiedzieć, też jest przemyślane. To co zrobiliśmy do tej pory to były tylko zestawy skeczy. Bajka już jest fabułą. Teatr, który mam nadzieję zaprezentować będzie innym podejściem do tematu, już nie takim frywolnym, lekkim, zabawnym.

Jak widzisz przyszłość kabaretu Król's?

Nie wiem jak będzie wyglądała przyszłość, bo ludzie wykruszają się z różnych powodów. Gdybym chciał założyć zawodowy kabaret, zrobiłbym

casting, przyjął cztery osoby, zorał je do końca, powiedział: tak macie grać. Wtedy byłbym pewien efektu. Nie robię tego, bo zależy mi na środowisku twórczym przy Teatrze S. To jest mój priorytet. Co z tego wyniknie za pół roku, za rok, nie jestem w stanie powiedzieć. Mam pewne plany, ale głównym planem jest praca. Zrobienie dwóch spektakli teatralnych i jeszcze ze dwóch kabaretowych. Wtedy po tych, powiedzmy, sześciu, siedmiu przedsięwzięciach scenicznych możemy sobie odpowiedzieć czy chcemy robić to zawodowo, poświęcić temu życie. To jest trudne życie, jeżdżenie, hotele, trasy. W pewnym momencie mnie zaczęło to tak męczyć, że miałem dość. Jedzie się przez siedem godzin, rozstawia sprzęt przez godzinę, gra przez półtorej, śpi w hotelu gdzieś tam. Ja nawet nie pamiętałem miast. Po czym wraca się cały dzień do domu. I to jeszcze często jest weekend, kiedy ludzie mają wolne, a my zasuwamy. Nie wiem czy da się normalnie funkcjonować w rodzinie z tym wszystkim. Wolałbym, żeby kabaret istniał w Teatrze S, żeby do nas przyjeżdżali ludzie, bo to jest dla nas wygodniejsze, dla widza też, bo ma stuprocentowy komfort oglądania, jeżeli chodzi o dźwięk, światło. Tutaj jest wszystko zorganizowane na bardzo wysokim światowym poziomie. Jest idealna ilość miejsc – dla około 250 osób. Dokładnie do takich granic da się grać kabaret. Powyżej tego to już przestaje być kabaret, robi się biada. Takie jest moje pojęcie, każdy ma swoje rozumienie kabaretu. To, które obecnie widzimy w telewizji nie do końca mi się podoba. Nie chcę sarkać, bo sam czasem brałem w tym udział, ale już mi się odechciało. Jeżeli, to tylko i wyłącznie na moich warunkach i z tym skeczem, który ja chcę grać. Trudno mi wybiegać w przyszłość, bo jak myślę o telewizji, to mi się przestaje chcieć mówić. Ale myślę, że ludzie, z którymi pracuję zasłużyli na to, żeby ich pokazać. Jest to doświadczenie życiowe i żeby dać im szansę spróbowania tego, to powinniśmy. Natomiast ja osobiście jestem daleki od chciejstwa w tę stronę. Telewizji dla mnie mogłoby nie być, mamy Internet, mamy przede wszystkim teatr i możliwość spotkania z żywym widzem i to jest najważniejsze.

Czy myślisz, że kiedyś znudzi Ci się rozśmieszanie ludzi?

Prekognicja, czyli przewidywanie – trudna sprawa w naszych czasach. Po wiem szczerze, że chciałbym czasem powiedzieć ludziom co innego, całkiem serio. Ale to mogłoby boleć. Dlatego wolę rozśmieszać. Jeżeli mi się to znudzi, to może usłyszycie mnie w innej odsłonie, tylko już nie będzie tak zabawnie. Dlatego na razie wolę śmieszyć. Im cięższe czasy, tym ten śmiech jest bardziej potrzebny. Uśmiech jest za darmo, a jest jedną z najcenniejszych rzeczy w życiu. Jest kilka takich paradoksów. Rzeczy, które są najważniejsze, są za darmo. To jest radość, miłość, zaufanie i kilka innych cech, o których zapominamy na co dzień, otwartość, ciepło, uczucie. To wszystko staram się zmieścić w kabarecie. Są piosenki i teksty o miłości, mimo że przewrotne, są teksty obyczajowe. Ja mam nadzieję z uśmiechem na twarzy umrzeć. Więc chyba nie przestanę rozśmieszać ludzi do końca życia.

Dziękuję za rozmowę.

Rafał Kwasek

- powrót slamera

Agnieszka Batorek

Kilka lat temu, slam poetycki jako forma zmagania się ze sobą lokalnych twórców, cieszył się w naszym mieście ogromną popularnością. Zarówno kultura Utopia przy ul. Jasnogórskiej, jak i siedziba Teatru from Poland w Zaułku Wieluńskim pękały w szwach, kiedy w szranki stawali częstochowscy slamerzy. Wśród nich prym wiódł nieco zblazowany młody człowiek o nazwisku Kwasek, który w przeciwieństwie do większości slamowych zawodników, nie robił wrażenia żadną spektakularną autoprezentacją, tudzież próbami stworzenia na scenie swoistego poetyckiego show, ale niezmiennie wzbudzał entuzjazm publiczności swoimi tekstami. Jego wiersze charakteryzowała zazwyczaj nieco kontrowersyjna tematyka i mocna, trafna puenta - efektowne zabiegi na granicy efekciarstwa - dopuszczalne jednak, a nawet pożądane w przypadku konkurencji, jaką jest slam. Istotne jest to, że owych zabiegów dokonywał wyłącznie na tekście. Regularnie wygrywał slamy posługując się siłą przekazu słownego, odczytując swoje wiersze bez większych emocji, jakby od niechcenia, nie stosując żadnych „efektów specjalnych” w postaci tańca, śpiewu czy gry aktorskiej, co jest dla slamu absolutnie naturalne.

Wraz ze wskrzeszeniem idei częstochowskiego slamu podczas Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!” udało się reaktywować również kilku lokalnych slamerów, w tym Rafała Kwaskę. Podczas festiwalowego slamu zajął co prawda dopiero trzecie miejsce (za młodym przedstawicielem hip hopu, specjalizującym się we freestyle'u Mixerem oraz za „przypadkowym bohaterem”, o imieniu bodajże Michał, który opowiedział smutną historię swego życia) - naszym skromnym zdaniem był jednak zdecydowanym liderem w kategorii „poezja”. Po kilkuletniej twórczej przerwie, w czasie której - jak sam twierdzi - nie robił nic, zaskoczył nas po raz kolejny. Nadal jest talentem nieoszlifowanym, niepokornym, chyba nawet nieco leniwym, ale trudno obok jego poezji przejść obojętnie. W niedbałej, czasem nieco kanciastej formie kryją się zadziwiająco trafne spostrzeżenia, treść przemyślana, często zaskakująca i przewrotna, zawsze przykuwająca uwagę i pozostająca w pamięci. Z pewnością Rafał Kwasek jest twórcą wyrazistym, charakterystycznym i niezwykle obiecującym, dlatego nie chcielibyśmy go już tracić z oczu na dłużej. Mamy nadzieję, że opinia naszego redakcyjnego eksperta w dziedzinie poezji, Wioletty Grzegorzewskiej, nie zniechęci go, ale zmotywuje do dalszej pracy.

Wioletta Grzegorzewska: Widzę szansę na to, że w przyszłości z Rafała Kwaskę wyrosnie (po odkurzeniu tony lektur) jakiś nowy Piotr Macierzyński, Andrzej Bursa albo Rafał Wojaczek. Kto wie? Polecałabym temu poecie mniej ślęczenia nad pismami literackimi i mniej slamów, ponieważ po lekturze jego wierszy mam wrażenie, że autor liczy na doraźną reakcję czytelnika, prowokuje, ale niestety nie dba o formę tekstu. Chłupot płynów/ w pustej jaźni wywołuje u mnie skręt kiszki. Poecie nie chce się amputować przegadanych momentów i dużych liter na początku wersów, które automatycznie wstawia za niego program do pisania. Cenne są w tych wierszach: realizm podszyty ironią i humorem, skłonność do hiperbolizacji rzeczywistości oraz groteska.

Rafał Kwasek

Spadające gwiazdy

nad moją działką
 eksplodował samolot z Hollywood
 patrzę jak Britney i Clooney (ten brzydal) zbliżają się
 szybko do ziemi
 i myślę życzenia

Noc pobożnych życzeń

noc już chrobocze nam po szybach
 spotkamy się i w większym gronie
 obalimy mit rajskiego jabłka
 dziś podobno można pomyśleć wszystko
 można wszystko powiedzieć
 i na pewno to się nie stanie
 herbaciana para tak samo lekko tańczy nad filiżanką
 jak co dzień
 tej nocy nie wsluchuj się w siebie
 bo usłyszysz tylko chlupot płynów
 w pustej jaźni
 w oczach miej pewność niewiadomego
 a wargi niech będą ciężkie od ciszy
 kiedy już zelżymy los za całe zło
 minionego roku, a świece się dopalą
 uśniecie na niewygodnych plastikowych fotelach

wieczorem padało
 więc pójde się przejść, posłuchać
 jak pod stopami chrzęszczą ślimaki

Mrok zwykle się skrada

zmiany nie zawsze są dobre
 czasem masz wrażenie, że bijesz los po twarzy
 ręce śmierdzą jak po kiepskich fajkach
 ktoś miał być miły, a jest zimny i spuchnięty jak topielec

żądza stabilizacji
 jakaś nieokreśloność drogowskazu zabija naszą butę
 chcieliśmy być Faustem a stać nas jedynie
 na bycie kolejnym wariatem

szukam znaczeń w twoich nigdy
 w twoich nie podjętych gestach
 i marmurowych ptakach, których spojrzenie jest jak
 spacer po ogniu
 łyk cykuty i spojrzenie w lustro, które będzie dziś naszym Styksem
 a niewidomy skrzypek zagra nam requiem
 dla pokonanych przez opętane anioły

ostatnio sypiam na stojąco żeby nie przegapić żadnej okazji do tańca

kręte uliczki nienazwanego miasta
 wyglądam przez okno na jedną z nich
 wśród przechodniów sunących przy ścianie
 widzę tych, którzy jeszcze nie wiedzą
 ale plotka o końcu świata złowieszczo krąży nad ich głowami.
 stare, trzeszczące krzesło, na którym siedzę, nuci marsz pogrzebowy
 sąsiad słucha Coltrane'a, powoli obdzieram ściany z kolorów poprzed-
 niego lata
 za chwilę zaświszczą bomby, a ja nie mam nawet parasola
 tam w piwnicy jest jedno miejsce gdzie mógłbym przeczekać
 ale w telewizji powiedzieli, że byłoby to nieprzyzwoite
 i że nawet jeśli ktoś ma jakąś skrytkę, to niech będzie solidarny

będę solidarny bo tak mnie matka wychowała i nauczyli w szkole,
 że ci, co przeżyją mają gorzej od tych co nie. Tyle, że nie tym razem
 w ramach ostatecznego rozwiązania problemów ludzkości
 na szarym niebie pojawiają się anioły
 w gumofilcach i z widłami do przerzucania zwłok
 po bruku przechadza się szatan i przez megafon namawia
 do zachowania spokoju

to spacer za siebie
 księżycy umierają w nowiu
 potem każdy rogal to już nowy miesiąc
 ktoś się śmiał z mojego chodu
 to prawda! niektórzy weselej umierają

w każdym mijanym oknie albo siedzisz i machasz nogami
 albo jakiś wisielec kołysze się w rytm
 miłosnej piosenki
 to piękny moment by wybrać z siebie nadmiar strachu
 zwątpieniu drzwiami przytrzasnąć palce
 krzyknąłbym jeszcze losowi w twarz wyzwanie
 ale nie wiem, w którą miałoby się to odbyć stronę

od lat dzieci bawią się w demiurga
 przy pomocy foremek i łopatek
 z piasku jesteś i w piasek się obrócisz
 krzyczą do babek w kształcie serc

na ścieżce mojego wracania
 słyszę szelest
 tiulowych sukienek i tańca na krawędzi
 by tknąć tę tkaninę w takt tych ochoczo
 rozbrzmiewających nad nami fałszywych psalmów
 spisanych z książki skarg i zażaleń

nie leń się
 podejdź do siebie chodźmy w lustrze
 zajrzyj za swoje odbicie i spróbuj wrócić tam
 gdzie ściana
 łączy się z horyzontem
 twoich świecących od zła oczu

Ostatnia pieśń świata

Michał Górnik

IX Liceum Ogólnokształcące im. C.K. Norwida

*„Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący – marli.”
Juliusz Słowacki*

Przeziębienie zimny. Zimny i ciemny. Jesienny świat na ulicach mojego miasta. Miejsce smutku, rozpacz i szarego betonu. No cóż, tak już chyba musi być.

Za zakrętu wyłonił się flajbus. Jak na komendę wszyscy stojący na przystanku ludzie zrobili kilka kroków naprzód i ustawili się przed wejściem do lewitującego pojazdu. Wtopiłem się w tłum, by po chwili zająć miejsce naprzeciwko ekranu wyświetlającego reklamę proszku nasennego. Tego, co nie było już chyba potrzebne nikomu w dzisiejszych czasach.

Rozejrzałem się dookoła. Wszędzie widziałem twarze o tym samym, pełnym rezygnacji wyrazie, z podkrążonymi, martwymi oczami utkwionymi w pustkę. Uświadomiłem sobie, że przecież ja też taki jestem. Każdy jest taki.

Flajbus wzbił się w powietrze i pomknął nad opustoszałą drogą. Wyrzuciłem przez okno. Nad nami, wśród chmur, krążyła fruwa. Zaś pod poziomem wietrznej trasy rozciągał się widok martwej metropolii. Tutaj nic się nie poruszało, nic nie żyło. Żadnego drzewa, rośliny, psa, kota, człowieka. Jedyne plamy zieleni dostrzegłem na dachach Sezamu i Jagiellończyków, nad którymi to właśnie przelatywaliśmy. Sztuczne ogrody.

Za horyzontu wyjrzało słońce. Jego promienie spowiła mgła złożona z pyłów i smogu. Kiedy słabe, blade światło padło na ciche uliczki, zgasły latarnie, a wysokie budynki pokryły się blaskiem neonów. Fontanna na Placu Orłąt Lwowskich uruchomiła się automatycznie, usłyszałem szum dochodzący z ogromnego pożeracza śmieci usytuowanego w dawnym budynku Tesco. Skierowaliśmy się w stronę lotniska.

Nagle coś za szybą przykuło moją uwagę. Fruwa zaczęła kłębić się w przestworzach, nie przestrzegając zasad ruchu. Niektóre z nich wpadły na siebie i poczęły spadać! Porozbijają się! Odwróciłem głowę. Żaden pasażer nie reagował. Powróciłem do obserwacji nieba. I wtedy serce podskoczyło mi do gardła. Od wschodu do miasta zbliżał się jakiś gigantyczny obiekt, który całkowicie przesłonił światło dnia. Częstochowę spowił mrok, a to coś z każdą chwilą stawało się mniej odległe. Już potrafiłem dojrzeć kontur - kształt stożka. Ten gigant unosił się nad ziemią! Teraz byłem tego pewien.

Niespodziewanie jakiś niebieski promień świetlny przeszył przestrzeń. Dreszcz przeszedł mi po plecach. Wiązka trafiła prosto w nieczynną hutę. Zetknięcie wytworzyło oślepiający rozbłysk światła. Zamknąłem oczy. Mimo to, kiedy je otworzyłem, nadal niewiele widziałem. Kiedy mój narząd wzroku był już w stanie użyteczności, przeżyłem szok. To, co ujrzałem przed sobą, było najgorszym z możliwych widoków.

W miejscu, gdzie uderzyła błyskawica... nie było nic. Zupełnie nic. Kominy zniknęły z horyzontu, ulica Złota wyparowała. Żadnych budynków, żadnych dróg, tylko czarne, buchające parą koło rozpalonej ziemi. Następny świetlny promień już zdążył w kierunku Stadionu Miejskiego! Tym razem poczułem silne wstrząsy, flajbus zbczył z kursu, przechylił się na lewą stronę i zaczął zmniejszać wysokość lotu. Wtedy też ludzie obudzili się wraz ze strachem. Słyszałem krzyki rozpacz, widziałem szamotaninę i próby podniesienia się z przechylonego pokładu. Sam ledwo co zdołałem przytrzymać się jakiś prętów, aby nie stracić równowagi.

Nagle z głośników rozległ się piskliwy głos, w którym słychać było przerażenie.

- Proszę państwa, proszę zachować spokój. Jesteśmy celem in... inwazji obcych. Miasto otwie... otwiera podziemny schron. Wszystkich kierowców proszę o katapultuwa... katapultuwa... katapultowanie się na Plac Biegański... skiego. Flajbusy dotrą tam automatycznie... tyż... tyżnie. Proszę zachować spokój! - głos załamał się.

Komunikat wzbudził jeszcze większą panikę. Sam nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Inwazja? Ale, jak to możliwe? Dlaczego? Co myślimy im zrobili? Kolejne turbulencje wyrwały mnie z zamyślenia.

- Jezusie! Ratuj nas! Ratuj...
- Zginiemy, wszyscy zginiemy...!
- Nie chcę umierać!

Zagrożenie sprawiło, że pasażerowie nie wiedzieli co ze sobą zrobić. W pewnym momencie ktoś otworzył okno i po prostu z niego wyskoczył. Ten akt desperacji zmroził mi krew w żyłach.

Nagle usłyszałem coś jakby grom, tylko o wiele głośniejszy. Pojazd całkowicie odwrócił się na bok i gwałtownie zaczął opadać. Siła tego manewru przygwoździła moje ciało do szyby. Spadaliśmy na katedrę. Kątem oka uchwyciłem niebieski piorun. Z całym impetem uderzył on w szóste piętro Galerii Jurajskiej. Moje uszy rozdarł przeraźliwy łomot. Zwinąłem się z bólu. Oczy otworzyłem dopiero po kilkunastu sekundach.

W przeciwieństwie do reszty zbombardowanych budynków, w centrum handlowym znikły tylko dolne piętra. W momencie, kiedy na to patrzyłem, górna część budynku zawisła w powietrzu. A potem bezwładnie opadła na ziemię. Łoskot zagłuszył niszczycielskie strzały po drugiej stronie miasta, a pył i kurz zaczęły kłębić się nad miejscem upadku.

Siła uderzenia zniszczyła opadający flajbus nad Plac Daszyńskiego. Kiedy byliśmy około stu metrów nad ziemią i już myślałem, że się rozbijemy, zareagował system bezpieczeństwa. Włączyły się transformatory lewitacyjne, dzięki czemu pędzący pojazd zatrzymał się w niewielkiej odległości od ziemi, po czym powoli wylądował. Ktoś wybił szklane drzwi swoim laptopem. Wszyscy zaczęli wychodzić z pułapki. Chociaż wiedziałem, że w środku pozostało wiele ludzkich ciał, nie oglądałem się za siebie.

bie. Chęć przeżycia była silniejsza od głosu sumienia.

- Biegnijmy do schronu na Biegańskiego! To niedaleko! Może jeszcze zdążymy!

Każdy z nas znał zasady wejścia do podziemnego częstochowskiego schronu. Tylko pierwszy tysiąc. I tylko w pierwsze 15 minut. Potem koniec. Nie można się już nigdzie schować.

Wszyscy wystartowali, pędziliśmy w stronę I Alei. Przebiegając pod starym krzyżem koło pomnika Jana Pawła II, zauważyłem że niektórzy żegnają się i patrzą w stronę jasnogórskiego szczytu. Idąc za ich przykładem, wyszeptalem kilka słów do Boga: *Proszę Cię, ocal mnie. Moja pora jeszcze nie nadeszła. Proszę, mam dopiero siedemnaście lat. Pomyślałem o rodzicach. Gdzie oni są? W schronie? Z pracy mieli niedaleko, więc...* Cień nadziei dodał mi sił. Wysunąłem się na czołówkę naszego wyścigu ze śmiercią. Mijając drapacz chmur na Kwadratach (o dziwo, nadal był cały), posłyszałem przenikliwe dudnienia zza pleców. Obejrzałem się przez ramię i o mało nie upadłem z wrażeń.

Zaledwie kilkaset metrów od nas unosił się statek kosmiczny naszych wrogów. Kolosalny stożek epatujący niebieską poświatą przesłaniał dwie trzecie nieba. Na moje oko miał pół kilometra wysokości i około dwieście metrów szerokości w najniższym punkcie. Po raz pierwszy w życiu poczułem coś jakby szaleńczy obłęd zmieszany z podziwem. Z powrotem skierowałem wzrok w kierunku, w którym biegłem. Już widziałem Plac Biegański, a na nim otwarte okrągłe przejście do podziemnego schronu! Pomimo bolących mięśni nóg, przyspieszyłem. Moi współtowarzysze biegli w ślad za mną, chociaż widziałem, że już ledwo sapią.

I wtem otwór zaczął się zamykać...

- Nie!!! - wyrzessałem i wyciągnąłem ręce w górę, machając.

Zejdźcie nadal zmniejszało swoje rozmiary. Byłem już tak blisko... Dysząc i zapiąc, przeciąłem skrzyżowanie. Rzuciłem się ku maleńkiemu otworowi w ziemi.

- Przestańcie! Nie zamykajcie tego!!! Zginiemy! - krzyczałem w jego stronę.

Moje ręce przejechały po gładkim betoniu. Ani śladu po zejściu. Wylał się ze mnie potok łez, zacząłem głośno szlochać. Przy każdym wydawanym odgłosie, czułem ogień w płucach.

Obejrzałem się za siebie. Nade mną stali inni uciekinierzy ze zwieszonymi rękami. Ich twarze miały podobny wyraz, jaki widziałem dziś rano, we flajbusie. Tylko teraz strach wreszcie ożywił ich oczy. Statek obcych zawisł nad naszymi głowami. Od spodu był wyposażony w kilkanaście ciemnych otworów, z niektórych buchało na nas ciepłe powietrze. Leżąc na tym szarym, zimnym betoniu, symbolu naszych czasów, powoli przygotowywałem się na nadejście śmierci.

Z boku poruszał się hologram Józefa Piłsudskiego na tle błyszczącego różowymi neonami ratusza. On jeden nie miał się czego bać, był bezpieczny. Jak wszystko, co minęło w ciągu tych stuleci.

Jak wszystko, co było lepsze. Ptaki, kwiaty, poezja i ludzie. Mądrzy, odważni, honorowi.

Nie to, co my.

Zamknąłem oczy. Nie chciałem tego widzieć. Wolałem zginąć w ciemności. Tak będzie lepiej. Lepiej...

Tylko dla kogo? Dla mnie? Czy dla nich? Dla morderców...

Dla śmierci?

Nie warto tchorzyć przed czymś, przed czym i tak nie ucieknę.

Tak więc uchyliłem powieki. Powoli, delikatnie. Ale nie, żadne mocne światło mnie nie oślepiło. Nade mną nadal stali zrezygnowani, pogodzeni z losem mieszkańcy miasta.

Pomału podniosłem się na nogi. Odgarnąłem rękoma tłum i zrobiłem parę kroków w stronę ratusza. Po chwili zastanowienia ponownie ruszyłem w tamtym kierunku. Po drodze minąłem świecąca postać Piłsudskiego. Przyjrzałem mu się. W rozświetlonym płaszczu, z zaciętą miną, w tej śmiesznej czapce i z szabelką w dłoniach wyglądał jak ktoś, kto umiałby sobie poradzić w każdej sytuacji. Tak, on zasłużył na wszystko... Gdyby był z nami, wykaraskałby nas z tego...

Poczułem coś dziwnego na dnie mojego serca...

Spojrzałem w niebo. Ze stożka nie dochodziły żadne oznaki życia. Tak jakby przybysze na coś czekali.

Ale mnie to już nie obchodziło.

Wszedłem do ratusza. W środku było strasznie cicho, uciekający pracownicy pozostawili po sobie porozrzucane na ziemi ulotki i dokumenty, przewrócony stolik oraz złamany wieszak na ubrania. Wspiąłem się po schodach do Izby Pamięci. Otworzyłem drzwi do pomieszczenia wyglądającego jak archiwum - wzdłuż ścian rozciągały się regały pełne stert starych dokumentów, zmurszałych skrzyń, rozpadających się pudełek. Ale to, czego szukałem znajdowało się na środku pomieszczenia. W szklanej gablocie umieszczono coś, co w dawnych czasach reprezentowało dla ludzi wartości ważniejsze niż życie i bezpieczeństwo, a przynajmniej tak gdzieś przeczytałem. I nigdy tego nie rozumiałem. Aż do teraz.

Nacisnąłem parę guzików na panelu znajdującym się przy gablocie, poczekałem na potwierdzenie od komputera i wyszedłem z budynku. A płyta gramofonu zaczęła się obracać...

Stanąłem na środku placu i pozwoliłem, aby zimny, listopadowy wiatr zwichrzył mi włosy. Ten ostatni raz. Uniosłem głowę. Jeden z otworów na powierzchni statku kosmicznego rozjarzył się, gotowy by wystrzelić w naszą stronę wiązkę zabójczego światła.

Uśmiechnąłem się. *Kiedyś znów będziemy wolni.*

I wtedy z ratusza rozległa się melodia:

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...

Świat zniknął w bieli...

...Tak nam dopomóż Bóg!

Praca nagrodzona w Międzyszkolnym Konkursie na Opowiadanie z Częstochową w tle p.h. „Inwazja z kosmosu” organizowanym przez Filię Nr 1 i Filię Nr 9 Biblioteki Publicznej im. dra Wł. Biegańskiego w Częstochowie oraz Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy „Aleje3”. O przyznaniu autorowi I miejsca w Konkursie i publikacji nagrodzonego opowiadania zdecydowało Jury w składzie: Agnieszka Batorek (redaktor naczelny pisma „Aleje3”), Ilona Kowalska (kierownik Filii Nr 9 Biblioteki Publicznej) oraz Piotr Nita (literat).



POSTAWILIŚMY NA ROCK

z zespołem Bedu
rozmawia Rafał Salamucha

ZESPÓŁ ISTNIEJE KILKANAŚCIE LAT. DEBIUTANCI, ALE NIE DEBIUTANCI. GRUPA PROFESJONALNA, A BEZ WYKSZTAŁCENIA MUZYCZNEGO. ZJAWISKO. ZACZYNALI PRZED LATY NA ŚWINOUJSKIEJ FAMIE I DZIĘKI SPOIWU JAKIM SĄ LUDZIE W TEJ FORMACJI, TRWAJĄ DO DZIŚ. ICH OSTATNIE I ZARAZEM PIERWSZE OFICJALNE DZIECKO TO PŁYTA *IN*.

Czerpicie inspiracje z różnych gatunków muzyki: reggae, rock, jazz, etno. Z czego to wynika?

Marcin Adamus: Wynika to z różnych upodobań każdego z nas. Każdy rozpoczął pewnie od słuchania prostej muzyki, wstyd powiedzieć jakiej. Co później skończyło się słuchaniem ambitniejszej muzyki: rocka, jazzu lub jazzu bazującego na blues'ie. Na dzień dzisiejszy każdy z członków zespołu ma bardzo szerokie zainteresowania muzyczne. Ja wręcz przesadnie, bo lubię taką muzykę, od której ludzie uciekają.

Paweł Stefańczyk: To jeszcze zależy, od klimatu jaki się czuje. Czy to jest dzień, kiedy ma się ochotę słuchać muzyki radosnej czy refleksyjnej, pobudzającej czy

uspiającej. Ja słuchałem każdej muzyki. Country też. Rzadko, ale słuchałem. Jeśli chodzi o jazz, nie jestem w stanie zrozumieć muzyki pani Dudziak, ale ją podziwiam za technikę. Każdy lubi, to co lubi.

Rafał Nowakowski: Nasza muzyka to zjawisko. Tak jak my jesteśmy zjawiskowi, słuchamy zupełnie różnych rzeczy, tak też uważam, że to co robimy należy do jakiegoś zjawiska. Bo umiemy grać, a nie jesteśmy wirtuozami, profesjonalistami. Ja jestem zakorzeniony w rocku. Potem było tak, że im bardziej skomplikowana muzyka, tym była ciekawsza. Zatrzymaliśmy się później na rockowo-etnicznych klimatach, ale wróciliśmy do korzeni. Na naszej nowej płycie poszliśmy znowu w rocka. Inspiracje inspiracjami, ale mam nadzieję, że oddaliśmy ducha rockowego. Czerpiemy inspiracje ze wszystkiego, ale na płycie *In*, złapaliśmy stylistykę rockową.

Rafał tworzyłeś wcześniej inne zespoły Blazing, Bedek, Zaar? Dlaczego one się skończyły a Bedu istnieje już kilkanaście lat? Co jest spoiwem?

R. N.: Ludzie. Tak naprawdę to chodzi o ludzi. Pomimo różnych rozbieżności stylistycznych, odpowiada nam nasze towarzystwo. Nie robimy tego dla pieniędzy.

M. A.: Często wracając z próby gardło mnie boli i płuca, od śmiechu... Tak jest na próbach u nas. Czasem mniej czasu poświęcamy żeby coś dograć, a więcej odbywa się to na zasadzie żartu muzycznego. Dlatego to się trzyma.

Do piosenki Stoję na lewej nodze został zrealizowany bardzo ciekawy teledysk animowany. Opowiedzcie coś o tym klipie.

P. S.: Pomysł był taki, żeby coś zrobić z tą płytą. Członkowie zespołu wybrali mnie na menagera. Nawiązałem więc kontakt przez mojego kolegę z Mikołajem Pilchowskim. I postanowiliśmy nagrać teledysk taki, by zsumować nagrałą płytę. Pomysł tego teledysku zrodził się od muzyki. Mikołaj miał zadanie na zasadzie, wybierz utwór i powiedz mi co być chciał z tym zrobić, a ja ci powiem czy tak może być. I Mikołaj wybrał utwór Stoję..., bo on mu się wydawał najlepszy. Zaproponował, że miałoby to formę chodzenia na jednej nodze po ziemi... Pilchowski to młody twórca który zaczyna wchodzić w ramy filmów animowanych.

R. N.: On zastosował własną, specyficzną technikę zrobienia tego teledysku. Nie jest to typowa animacja. Nakłada tam obrazy. I przy okazji ma duże poczucie humoru.

Na waszej stronie internetowej www.bedu.pl można przeczytać, że ponad dwadzieścia utworów, których jesteście autorami, to rozgrzewka przed wydaniem debiutanckiej płyty. Ale przed płytą *In*, były trzy wcześniejsze, czy możecie to sprostować?

M. A.: Poprzednie nagrania nie ukazały się na rynku. To były demo, gdzie były zarejestrowane utwory w takiej ilości, że w zasadzie są nazywane płytami. Ale dla nas to są zapisy sesji.

R. N.: Przy pierwszej sesji, to był charakter bardziej poetycko-rockowy. To były takie balladowo-poetyckie. A później weszliśmy w stylistykę reggae, bo stwierdziliśmy, że wesoło jest grać reggae. To był 2002 rok. To były cztery utwory, ale zakręciliśmy w tę stronę. Rytm był. Nasz perkusista ciągnął do reggae i do tej pory to robi, bo gra z Barwinkami [Cała Góra Barwinków, przyp. red.].

R. S.: Wasze wcześniejsze płyty to Bedu, Kobieta, Światło. W jakiej stylistyce były te płyty?

R. N.: Stylistyka. To był odwieczny problem zespołu. Zawsze się nas pytali co my gramy?

P. S.: Rock.

R. N.: To teraz wyszło. Przy ostatnim nagraniu.

M. A.: Zasadniczo, to większość z nas ma takie zdanie, że muzyka nie jest od tego, żeby ją nazywać i żeby ją w szufladki wkładać. I dlatego graliśmy, aż tak różnorodnie.

R. N.: Pierwsze moje spotkanie było z basistą, Marcinem. I graliśmy w dwójkę. To były ballady. Z tych ballad stworzyła się później płyta Bedu. To była esencja z tego czasu. Dopiero później przeszliśmy w rozrywkowe granie. Chwyciliśmy



reggae, trochę instrumenty dęte. Płyta Kobieta zrobiła najbardziej komercyjny sukces. Byliśmy już zmęczeni tą komercją. I okazało się, że zaczęliśmy szukać innego zmęczenia. Bardziej smutnego. Poszliśmy w melancholię, w stronę muzyki do słuchania.

M. A.: Ja uważam, że na ostatniej płycie to melancholijne są dwa utwory, a reszta to wesołe. Wracając kiedyś z próby, postanowiliśmy, że będziemy grali mocniej.

R. N.: Powiedzieliśmy, brakuje nam konsekwencji. Musimy w końcu coś z tym zrobić. Postawiliśmy na rock.

Czy wydanie płyty własnym sumptem to taki artystyczny wymysł, promocyjny zabieg czy brutalna rzeczywistość zespołu który chce grać i tworzyć po swojemu?

P. S.: To była jednak brutalna rzeczywistość. Po wysłaniu gotowego, nagranego materiału, kilka firm fonograficznych było zainteresowanych. Rozmawiałem z ludźmi, którzy te płyty odbierali. Mówili, że dobrze nagrany materiał, ale tu szefostwo decyduje. Po czym szefostwo decydowało, że nie. I dowiadywałem się, że zespół mało znany w Polsce, że mało koncertów gra, więc odpuszczali. Tak było w trzech czołowych firmach.

M. A.: Sprawa wygląda tak, że wytwórnie są nastawione na to, żeby zarobić. Najlepiej to by przyjęły gotowy produkt i tylko pomogły w dystrybucji. Same zarobiły, a zespołowi pozwoliły wyjść na zero. Niestety taka jest smutna prawda. Oczywiście są wyjątki, kiedy naprawdę powstaje taki zespół, który jest kopalnią hitów. Gdzie od razu redaktor słuchający utworu, wie kto to jest. My akurat takim kimś nie byliśmy.

R. N.: Stwierdziliśmy, że nie zależy nam, żeby była to płyta wydana przez x wytwórnię, tylko że warto by było zapisać ten materiał profesjonalnie i zrobić profesjonalną płytę. Zrobiliśmy to tak, jak chcieliśmy. Nikt nam niczego nie narzucał. I uważam, że właśnie to jest szczerze. To, co się stało, jest dla nas bardzo korzystnym rozwiązaniem, bo życie na walizkach, jest bardzo ciężkie.

Rafał, jesteś autorem wszystkich tekstów. Czujesz się bardziej poetą czy muzykiem?

R. N.: Ani tym, ani tym. Nie jestem muzykiem, bo nie mam wykształcenia muzycznego. To jest takie zjawisko. Nie wiem jak się tytułować. Piszę teksty, bo nie miał kto. Nikt nie chciał robić muzyki, więc ja zacząłem to robić. Żeby zespół mógł sobie pograć.

A nowy projekt, Yves, to alternatywa od Bedu?

R. N.: Nie, to zupełnie inaczej. Często jest tak, że skomponuję coś i mówię tak, przecież ja tego nie zaśpiewam, bo to powinna kobieta zaśpiewać. Bo tekst ewidentnie pasuje pod stylistykę kobiety, jest zbyt delikatny, żeby to wykonał mężczyzna. Myślę, że Yves to jest taka efemeryczna postać mojej twórczości. Gdzieś mi zawsze siedziały bluesowo-jazzowe rzeczy w głowie. I chciałem grać w pubie delikatne utwory, a głosu jazzowego nie mam, więc zatrudniłem wokalistkę. Tam jest bardzo delikatne granie, a wyciszenie jest mi potrzebne.

Jakie plany na przyszłość?

P. S.: Gdyby muzyka nasza zaistniała szerzej na rynku, i byłaby możliwość zagrania koncertów na Śląsku, to by sprowokowało nas, żeby się spotykać, tworzyć coś nowego, i rozwijać się. W momencie kiedy widzimy jak to funkcjonuje (a każdy ma swoją pracę której nie możemy zarzucić, bo żyć z czegoś trzeba), to nie mamy możliwości i mocnych bodźców zewnętrznych, żeby coś tworzyć więcej.

R. N.: Chcemy na pewno coś zdziałać jeszcze na rynku. Musimy znaleźć bodziec. W postaci kolejnych myśli. Na razie zima nas dopadła i śpimy. Natomiast może przyjdzie czas na to, że będziemy starać się znaleźć coś ciekawego. Może przyjdzie taki czas, że coś stworzymy. Na razie zawiesiliśmy działalność.

M. A.: Jesteśmy w letargu, i tylko od czasu do czasu koncertik.

R. N.: Być może pójdziemy teraz w indiańskie granie... (śmiech)

Dziękuję za rozmowę.

O zespole w Internecie:

www.bedu.pl

www.myspace.com/bedubedu

www.myspace.com/zespolyves

Skład zespołu:

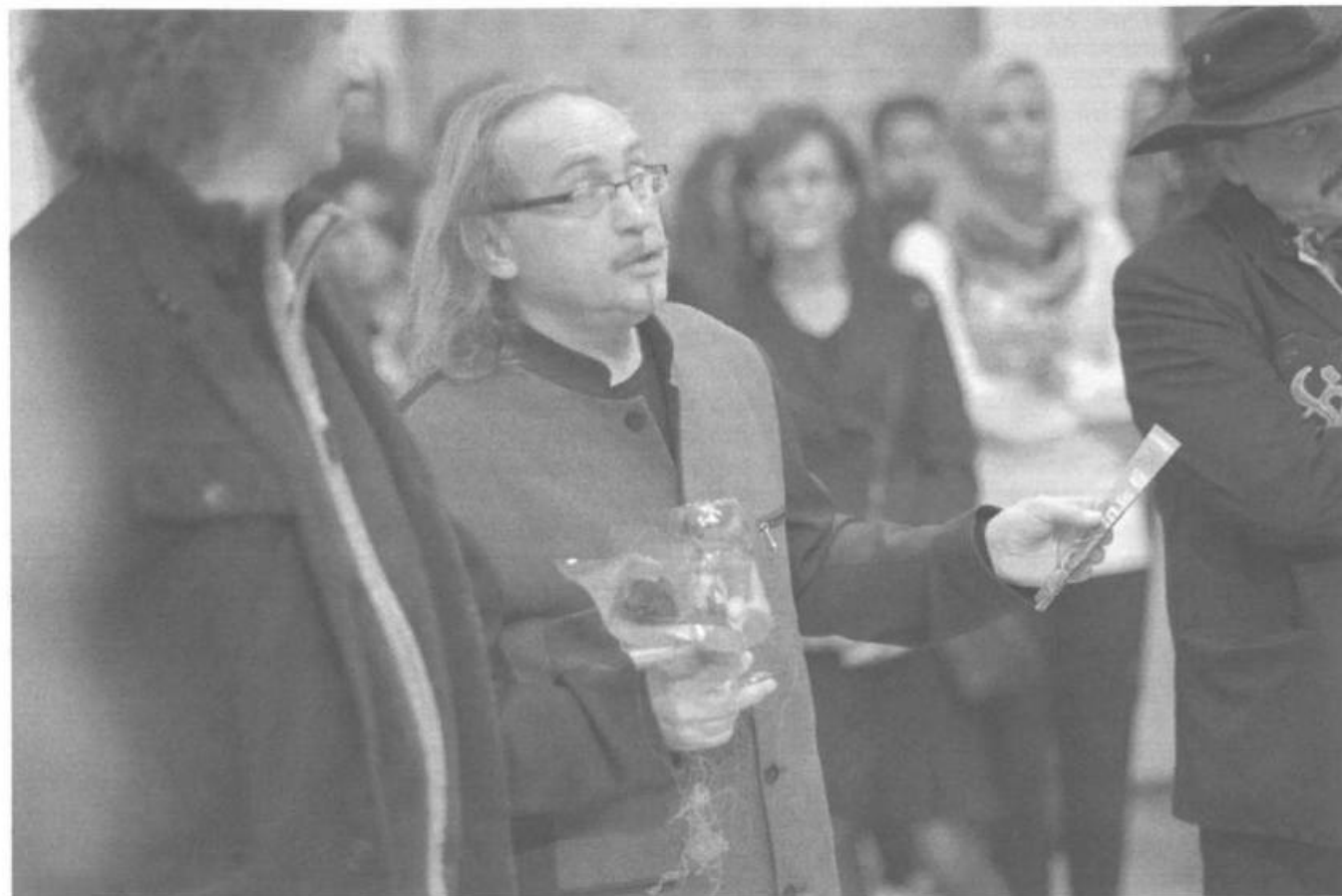
Rafał Nowakowski – voc., git akustyczna

Michał Dylikowski – git. elektryczna i akustyczna

Marcin Adamus – bass

Paweł Stefańczyk – instrumenty perkusyjne

Jurand Śliwka – perkusja



PASJE UTAJONE, CZYLI ŻYCIE MARIANA PANKA BIAŁA LOKOMOTYWA

Jerzy Dudek Zimny

zdjęcia: Piotr Kras

Marian Panek jest artystą, którego polskie środowiska związane ze sztuką kojarzą zarówno jako malarza jak i scenografa. Znany jest jako twórca dynamicznych akcji plastycznych i statycznych instalacji. Jest krytykiem sztuki i nauczycielem akademickim. Wreszcie działania jego stawiają go wśród animatorów i twórców działań i projektów artystycznych, które przez z górą lat 35 na stałe wpisały się do świata sztuki i kultury.

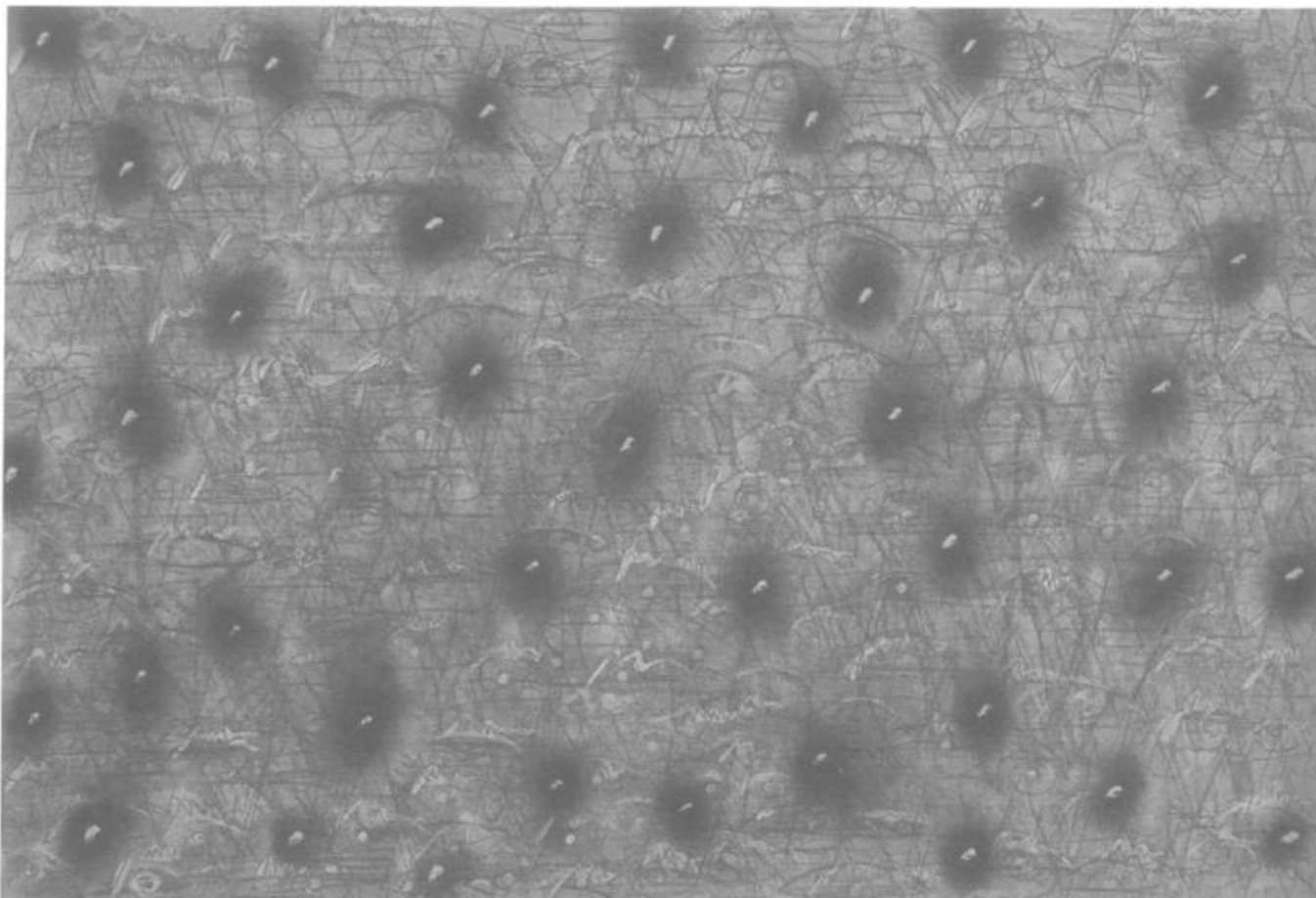
Nieskażony manierą liceów plastycznych, swoje twórcze pasje postanowił rozwijać wstępując w roku 1971 na Krakowską Akademię Sztuk Pięknych, by studiując kolejno w pracowniach mistrzów Zbigniewa Grzybowskiego i Adama Marczyńskiego zrobić swój dyplom malarski w roku 1976 u boku samego Jonasza Sterna. Już w czasie studiów związał się z Krakowskim Teatrem 38 i idąc indywidualnym trybem studiów kontynuował w latach 1974-1977 swoje poszukiwania artystyczne w Studium Scenografii Teatralnej, Filmowej i Telewizyjnej. Wielką wiedzę i warsztat, w przedmiocie sztuk scenicznych, zdobył w zetknięciu się z Konradem Swinarskim, Bogdanem Hussakowskim, Ireną Wollen, oraz u najwybitniejszych scenografów teatru polskiego, Wojciecha Krakowskiego, Lidii i Jerzego Skarżyńskich. Przywołuje ich często, zawsze z wielkim sentymentem, podkreślając wagę i znaczenie ich korekt.

Od pierwszego roku studiów wypracowuje przemyślany program, którego początek nadaje znacząca realizacja „Biała Lokomotywa”. Akcja-instalacja

na dworcu kolejowym, którą otwiera II Festiwal Studentów Szkół Artystycznych w Nowej Rudzie w roku 1973. Tym samym wyprowadza swoją obecność w sztuce poza teren szkoły, odchodząc od utartych szablonów akademickich, po przez stworzenie koncepcji, która wyraźnie wyrasta z korzenia awangardy, z potrzeby bycia niezależnym, z potrzeby osobnego, kreatywnego myślenia, zarówno w malarstwie jak i na scenie teatru. „Biała Lokomotywa” staje się mocną kreacją, dając tytuł do filmu o Festiwalu, zrealizowanego w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, we Wrocławiu. Staje się też impulsem do późniejszych projektów, których ideą jest zawsze odniesienie do rzeczy najprostszych, codziennych, w konfrontacji z rzeczywistością. Tak było z akcją plastyczną-happeningiem „Biała Kufajka” na Festiwalu Studentów Szkół Artystycznych Krajów Nadbałtyckich „FART” w Gdańsku w roku 1973, gdzie pomalowana na biało robocza kurtka, przemieszczając się przez przestrzeń historyczną miasta, a zwłaszcza industrialną przestrzeń będącego w trakcie budowy Portu Północnego. Stwarzała różne do nich odniesienia, sama będąc równocześnie częścią każdej przestrzeni. Prowokując i zaskakując swoim niespodziewanym pojawieniem się, zmuszała do refleksji ludzi poruszających się po utartych ścieżkach codzienności. Powróciła ponownie instalując się jako przestrzeń „Pamięci Josepha Beuysa”, w 1987, w BWA w Częstochowie.

W roku 1974 na III FSSA w Nowej Rudzie, przyszła kolej na następne akcje, które stawały się co raz, to większą kontestacją ówczesnej rzeczywistości. Zbiorowy happening, parateatr, „Artykulacje Czynności Zwyczajnych” zorganizowany został pod pięknym kamiennym mostem kolejowym, który artysta kojarzył z akweduktem rzymskim, a przez to, symbolem łączności z odległą przeszłością. Most stał się kanałem przenoszenia w czasie i przestrzeni. Poprzez nieudolność i „nieudaność” czynności wykonywanych przez uczestników akcji, prowadził do refleksji nad niemożliwością, nad niespełnieniem, nad absurdem i nonsensem działań w przestrzeni uwarunkowanej, również politycznie, w jakiej żyjemy od wieków.

Druga akcja, jaka miała miejsce wówczas, „Wystawa Lęków”, była rodza-



jem psychoanalizy, gdzie każdy miał okazję, wydobyć z siebie głęboko skrywane lęki i zahamowania opisując je i przenosząc na papiery w formie graficznej, by móc się ich wreszcie pozbyć. Zostały spalone! Wcześniej ułożone w symboliczny krzyż, by w tym znaczącym geście, mógł artysta odnieść się do realnej, wspólnej przestrzeni. By w formie tego znaku, w jego przestrzeni, zintegrować symbolicznie mieszkańców miasta i przybyszów spoza.

Protesty robotnicze w Radomiu w 1976 i ich kłamiwa i tendencyjna interpretacja w TVP znalazły swoje odbicie w pierwszym bodaj „reality show”, w „Konfrontacjach obrazów z naszej rzeczywistości z obrazem telewizyjnym” na Konfrontacjach Studentów Szkół Artystycznych w Cieszynie w czerwcu 1976 roku, gdzie używając przestrzeni publicznej, zaangażował spontanicznie przypadkowych widzów. Manifestował w tym swoją niechęć do władzy i tragizm sytuacji przez symboliczny pokaz tego, jak fałszywa polityczna, telewizyjna rzeczywistość systemów rządzenia ludźmi, nie przystaje do codzienności i wolnej, czystej duchowo, przestrzeni artystycznej.

Wszystkie te działania miały jednak swoją siłę sprawczą i swój początek, w miejscu gdzie Biała Lokomotywa wjeżdżając na dworzec kolejowy w Nowej Rudzie, pchana przez czarną lokomotywę, przełamała rzeczywistość i stała się samodzielną przestrzenią, środkiem narracji pomiędzy dwoma światami, sztuki i prozy życia, narracji i wzajemnego przenikania się, tego co inne, oraz tego co ulotne i zdawałoby się niewidoczne, z tym co powszednie, oczywiste i namacalne.

Dyplom w 1976 roku, „Artykulacje Paraprzedmiotowe” był drogowskazem w przyszłość. Idąc za głosem swojego mistrza Jonasza Sterna, że przekaz jest istotniejszy od formy swoje zainteresowania twórcze Marian Panek skierował w stronę teatru, nie porzucając jednak malarstwa. W nim bowiem widział punkty wyjścia i zakończenia swoich działań. W nim realizował cały proces twórczy i przenosił go do rzeczywistości sceny. Powstawały scenografie, w sztukach, które jasno określały

jego stosunek do przestrzeni narzuconej, jaką było PRL. Był to „Cesarz” Ryszarda Kapuścińskiego w Teatrze Powszechnym w Warszawie [1979], „Rozmowy Uchodźców” Bertolda Brechta w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi [1980] czy „Proces”, Franza Kafki w Teatrze 38 w Krakowie [1981], będący odwołaniem się do zabójstwa przez SB, studenta UJ Stanisława Pyjasa.

Przyjęty został w 1979 roku jako młody scenograf do Rady Artystycznej Teatru Adama Mickiewicza w Częstochowie. Debiutował na tej scenie, „Staromodną Komedią” Aleksieja N. Arbuzowa [1978]. Później przysły realizacje do „Edyp Królem” Sofoklesa [1978]; „Dom Bernardy Alba”, Federico G. Lorki [1979]; „Rozmowy z katem” Kazimierza Moczarskiego [1979]; „Proces w Norymbberdze” Rolfa Schneidera [1980]; „Basen” Jerzego Kondrackiego [1981]; „Bardzo starzy oboje” Kazimierza Brandysa [1982]; „Choinka Strachu” Janusza Głowackiego [1982]. Rozstanie z Teatrem Częstochowskim przyszło w 1984 roku, po tym jak stanął w obronie przyjaciela, niedawno zmarłego, Wojtka Kopcińskiego, ówczesnego Kierownika Artystycznego Teatru w Częstochowie, zbierając podpisy pod petycją broniącą jego osoby. Ale już w roku 1985 wspólnie, w reżyserii W. Kopcińskiego, w Auli Jana Pawła II, na Jasnej Górze wystawili „Zapiski Więzienne” Stefana Kardynała Wyszyńskiego.

W roku 1986 zrealizował wspólnie z Januszem Pacudą i Ryszardem Baranowskim akcję, instalację i happening „Białe Drzewo”, która rok później znalazła swoją kontynuację jako instalacja-performance na Festiwalu-Nowe Media w Sztuce w BWA w Olsztynie, jako „Wielka Szyba Białego Drzewa”.

W swoich działaniach artystycznych Marian Panek często odwoływał się do kultury antycznej. Idąc więc za przykładem Greków, którzy za swój obowiązek uważali brać czynny udział w sprawach miasta-państwa, [„polis” gr. - miasto-państwo, stąd polityka, a tych którzy tego unikali nazywali „idiotos”] angażował się w działania zmierzające do odzyskania suwerenności Państwa Polskiego, by stanąć w roku 1990 na czele Wydziału Kultury i Spraw Społecznych Urzędu Wojewódzkiego w Częstochowie. W trosce o suwerenność sztuki, zaopiekował się wszystkimi instytucjami kultury, miejscami pamięci narodowej, związkami twórczymi i stowarzyszeniami, nadzorem nad służbami konserwatorskimi. I zaopiekował się najlepiej jak tylko mógł, tworząc przestrzeń społeczną, w której realizował swoje twórcze koncepcje. To on stał się „ojcem chrzestnym” Triennale Sztuki „Sacrum” i Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Współpracując z Wojciechem Skrodzkim, przy realizacji I Triennale sprowadził i zaaranżował jako wstęp i preludium, „Pasję z Dunkierki”, kolekcję stworzoną przez Gilberta Delaina, dyrektora Muzeum Sztuki Współczesnej z Dunkierki, ze znakomitych dzieł dotyczących tematu Pasji. Pokazał przy tym po raz pierwszy w Częstochowie obraz Endy Warhola „Ostatnia Wieczerza” oraz kilkudziesięciu innych, znanych malarzy europejskich, o randze światowej, m.in. Rainera Fetinga, Daniela Spoerri, Lucio Fontany, Armana, Georgesa Mathieua, Georga Baselitza czy Alfreda Manessiera. Współorganizował Światowy Dzień Młodzieży w Częstochowie. Przyczynił się do odnowienia Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej i Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich. Wpłynął na zmiany dyrektorów Muzeum, Biblioteki Wojewódzkiej, BWA i zadecydował o zmianie dyrektorów Filharmonii Teatru im. A. Mickiewicza. Był autorem wielu działań, które miały w zamysłach, przynieść pożytek kulturze i sztuce w całej przestrzeni województwa częstochowskiego.

Po zmianach administracyjnych w 1992 roku, Marian Panek zostaje dyrektorem częstochowskiego Biura Wystaw Artystycznych, a od 1994 roku Miejskiej Galerii Sztuki. Efekt jego niezwykle intensywnych, siedmioletnich działań na forum miasta, to ponad dwieście wystaw i prezentacji, oraz kilkanaście ekspozycji zagranicznych, prezentujących twórczość artystów częstochowskich. Najlepszy okres funkcjonowania i świetności galerii, to wynik jego ogromnego doświadczenia i wielkiej intuicji, które w kreacji działań artystycznych są cechą niezbędną. Realizacje projektów wystaw, były kontynuacją wydarzeń, oraz jego własnych artystycznych doświadczeń. Jest autorem wspaniałych projektów, stworzonych z wielkim rozmachem i wyczuciem sztuki. Realizując swoje poszukiwania przestrzenne m. in. na wystawie „Miejsca” [1993] poka-

zał Bruno Schulca, Tadeusza Kantora, Józefa Gielniaka, Jonasza Sterna, Rabinowicza i innych, w sytuacji wykreowanego dla nich „miejsca szczególnego”, przestrzeni szczególnej, która stała się osią i podstawą całej ich twórczości. Kolejną wielką wystawą była retrospektywa twórczości Władysława Hasiora w roku 1994. Panek zgromadził około stu prac artysty z 12 polskich galerii. Zarówno wystawę jak i po mistrzowsku wydany, pod jego redakcją, katalog, Hasior uznał za najlepsze i najbardziej udane w swoim życiu. Organizuje i przygotowuje od strony formalnej, wraz z Radą Programową II Triennale Plastyki „Sacrum” [1994], w którym, podobnie jak i w pierwszym podsumowuje to, co było najlepsze i najważniejsze u artystów związanych z kulturą niezależną, w nurcie sztuki sakralnej lat osiemdziesiątych, i nie tylko. W roku 1995 przychodzi czas na wielką wystawę „Polscy Surrealiści”, gdzie dając pomysł wystawy problemowej, sprowadza na sesję naukową do Częstochowy najwybitniejszych krytyków sztuki, Piotra Krakowskiego, Jerzego Ludwińskiego, Andrzeja Saja, Antoniego Zydronia, Marię Hussakowską i Henryka Wańka. Osiemdziesięciu wielkich malarzy przedstawia w przestrzeni odniesienia surrealizmu polskiego do surrealizmu europejskiego. Zostaje wydany również obszerny katalog dokumentujący wystawę, z tekstem Andre Breton'a jaki z okazji wystawy post-surrealistycznej, międzynarodowej grupy Phases [1959 r.], w krakowskiej galerii Krzysztofory, w imieniu surrealistów skierował jako przesłanie do intelektualistów polskich. To tylko kilka, najważniejszych projektów. Niejednokrotnie pokazywał w BWA autorów debiutujących ze swoimi propozycjami, czy artystów częstochowskich. Okres świetności Miejskiej Galerii Sztuki kończy niechęć władz miasta do popierania finansowego sztuki, a konkretnie III Festiwalu Plastyki „Sacrum” [1997]. „Rozwiązanie umowy na zasadzie porozumienia stron”. Swoje projekty wystaw realizuje Panek dalej, uczestnicząc w działaniach Częstochowskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i wspierając merytorycznie wszystkie ważne wydarzenia artystyczne w mieście.

W roku 2002 współtworzy rapsodyczny Teatr „Legion”, w Kurniku pod Poznaniem. Współpracuje z reżyserem i pisarzem, Wojciechem Kopcińskim zmarłym niedawno. Jako owoce tej współpracy powstały m.in. scenografie do przedstawień „Cats” T.S. Elliota [2002]; „Dar i zmaganie” Anny Łazuki-Witek; „Przebudzenie”, Włodzimierza Wysockiego [2007]; „Anioł w knajpie”, Beaty Obertyńskiej [2008]; Misterium Pasyjne „Leiden” w reż. Wojciecha Kopcińskiego [2003, 2007]; „Kabaret” reż. Anny Łazuki-Witek w ramach Warsztatów Teatralno Muzycznych [2008].

Współpracuje z wybitnymi reżyserami i teatrami w Polsce, realizując ponad czterdzieści scenografii m.in.: „Przemiana”, Franza Kafki w Teatrze Ochoty w Warszawie [1991]; „Proces”, F. Kafki, w Teatrze im. St. Żeromskiego, Kielce [1995]; „La Serva Padrona”, G.B. Pergolesi, w Teatrze im. Cypriana Norwida w Jeleniej Górze [1995]; „Gdyby”, Bogusława Schaffera, w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym im. J. Słowackiego w Koszalinie [1996]; „Jako świętuję rocznicę”, Rolanda Topora, w Teatrze Polskim w Bydgoszczy [1997]; „Żniwo”, B. Schaffera, w Teatrze Ludowym w Krakowie [1997]; „Powrót do domu”, Harolda Pintera, Teatr Polski w Bydgoszczy [1998]; „Jako świętuję rocznicę”, w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu [1998]; „Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska”, w Teatrze im J. Kochanowskiego w Opolu [1998]; „Król Lear”, Shekspear'a, w Teatrze im St. Żeromskiego w Kielcach [2001].

W swoich scenografiach rezygnuje z realistycznego obrazka sceny, zastępując go przestrzenią pełną klimatu i nastrojów jakie tworzy na sztalugach. Malarstwo i rysunek są tutaj bowiem dziedziną, w której Panek odnajduje swój własny język twórczy. Przestrzeń stworzoną przy sztalugach, wyprowadza poza płaszczyznę płótna, wprost na scenę teatru, happeningu, instalacji, performance. Wyprowadza, ale i sprowadza z powrotem. Wiąże, przy tym, w sobie wiadomy tylko sposób, wszystkie te formy wypowiedzi w jeden organizm, gdzie funkcjonują oddzielnie, tworząc jednocześnie, jeden wspólny świat. Umiejętność tę widać u niego już w czasie studiów, kiedy pracuje i przyswaja sobie wiele różnorodnych sposobów oddziaływania materii sztuki, w odniesieniu do otaczającej go rzeczywistości. Kieruje nim chęć jej teatra-



lizowania, przez co jest tak sugestywny i czytelny w swoich wypowiedziach. Z jego obrazów spływają przeróżne melodie i dźwięki, słychać brzęk tłuczonego szkła a zbliżając się bardziej czujemy nawet powiew wiatru unoszącego piórka rajszych gołębi, a wszystko to pulsuje, faluje w tej innej przestrzeni ruchu.

W cyklach rysunkowo malarskich, Marian Panek swoją całą uwagę zwraca w kierunku wydobycia wielowymiarowych przestrzeni, za pomocą symboli zawartych w gestach, kolorach, ruchu a nawet dźwięku. Poszukuje przestrzeni różnych, próbując nadawać im nazwy, które powstają z nastroju jaki ze sobą niosą. W 1992 roku rozpoczyna „Budowanie przestrzeni teleskopowej” [1992-93]. Pojawiają się przestrzenie emocjonalne, modlitewne, wędrujące, prześwietlone i przepisywane. Powstają i takie przestrzenie, w których umieszcza akt kobiecy.

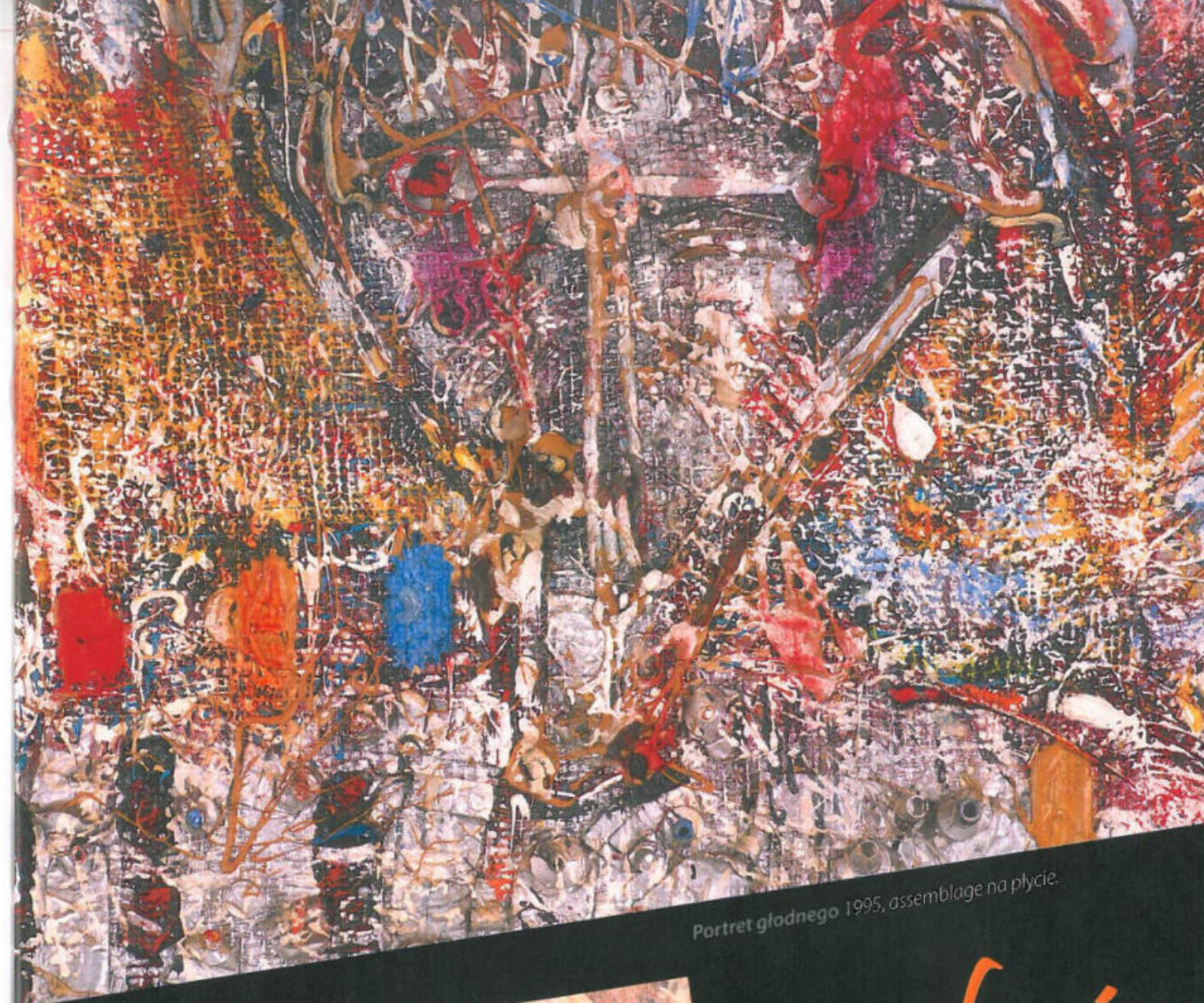
Preludium niejako i wstęp do swojej Retrospektywy „Inne Przestrzenie” rozpoczął w czerwcu tego roku, wystawą aktów w galerii „Off Art” w Częstochowie, zatytułowaną „Kobieta Labirynt”, podkreślając tym faktem główne

źródło swoich inspiracji i wprowadzając nas jednocześnie w świat swoich przeżyć twórczych. Akt bowiem, jest dla niego sprawą bardzo ważną. W tych labiryntach namiętności poszukuje bowiem, środków własnej wypowiedzi. Poszukuje własnego języka plastycznego, własnego ornamentu, w sensie kreowania swojej indywidualnej estetyki. Wypowiada się w ten sposób, po przez własną symbolikę, używaną od strony ekspresji i od strony zapisu. Pisanie takie, zarówno od strony rysunku, jak i od strony koloru, jest jego domeną praktykowaną cały czas. A jest to pisanie o kobiecie i o namiętności. Kobieta wszak ikoną jest. A ikony się pisze. Ikony są wielką modlitwą. Stąd w jego przestrzeniach modlitewnych pojawiają się linie pochodzące z rozedrganych namiętnością kobiecych kształtów. Linie i symbole przeniesione wprost z aktów. „I Tak Wszystko Płynie” [1996], w cyklu rysunkowym będącym, starannie i ekspresyjnie kaligrafowanym, opisem i zapisem czasu. Jego „Modlitwy” [2000] przeplatają się z „Erotykami” [2000] a „Kobiety” [2000] są nieprzerwanie, cały czas, największym źródłem inspiracji. Powstaje w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych, cykl około siedemdziesięciu prac pt. „Kobieta Labirynt” i „Kobieta Litera”. Wystawione na dwudziestopięciolecie lecie pracy twórczej, w Synagodze w Altenkunstadt w 2002 roku, skomentowała prasa jako „Dynamische Stiele, Sinliche Formen”. Były z pewnością realizowane w „twórczym afekcie i w dobrym tempie”. „Dynamiczny styl i zmysłowe kształty” znaków i symboli płyną wprost z tego niezwykłego labiryntu, przez przestrzeń „Zapisów Automatycznych” i modlitw „W Rytmie Czasu” [1993], który odmierza „Wahadło Życia” [2001]. To one pokazują nam, jak ulotne i kruche, a zarazem jakże piękne są „Elementy Życia i Śmierci” [2001].

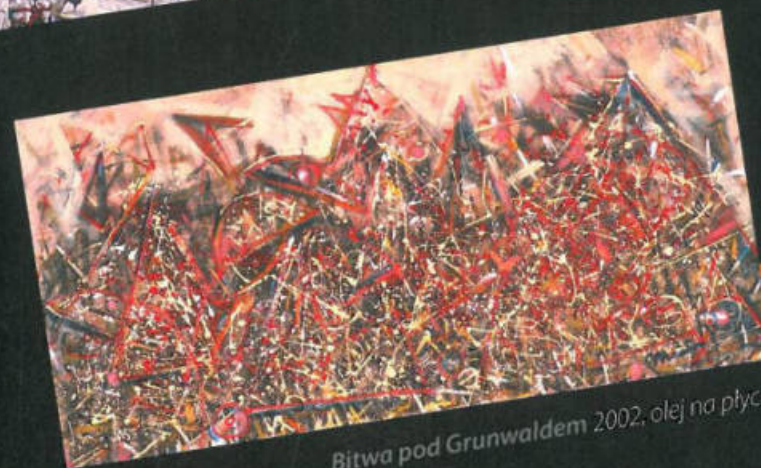
Zadajemy sobie pytanie jak to jest możliwe, że w jednym człowieku skupił się tak wielki potencjał, że prezentując sobą tak wiele dziedzin twórczości potrafi łączyć je w jedną wspólną całość? Że potrafi jeszcze ogarnąć wszystko to, co dzieje się wokół niego w sztuce, ujmując to w formie krytycznych wypowiedzi na łamach „Aleji 3” i „Galerii”, przynależąc do Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Litwa”. I jak by tego było mało, dzieli się swoją wielką wiedzą malarską i scenograficzną ze studentami, nieprzerwanie, przez już ponad 30 lat.. Zadajemy sobie pytanie gdzie zaczyna się i gdzie kończy jego przestrzeń, w której czas płynie inaczej, w której dobrze i z wielką fantazją, jak na prawdziwego artystę przystało, bawi się, obalając wszelkie prawa przyrody, tak na płótnach jak i w życiu. Gdzie pojawia się, by za moment zniknąć, przestrzeń, którą nam pokazuje wprost, a my profani podglądamy ją przez dziurkę od klucza, drzwi, co stoją samotnie na piasku plaży, uchylone w stronę horyzontu morza, za którym kryje się jego wielka tajemnica [„Jesteś tam gdzie jesteś” oraz „Podglądanie wzbronione” happening na plaży Gdańsk Stogi, sierpień Fart 1974].

Wszystkie jednak próby szukania własnych rozwiązań, własnych wypowiedzi, odnieść trzeba do tej pierwszej, sprawczej, siły napędu i siły popędu, którą ten artysta intuicyjnie wyrwał mocą swojego umysłu z innej rzeczywistości. Wszystko trzeba odnieść do Białej Lokomotywy. Bo to Ona jest jak te „Oczy, Które Wszystko Widzą” [2000-2002] i przełamując przestrzeń, przywołuje sacrum, co raz, to stając się kolejną próbą własnej interpretacji świata postrzeganego od strony Boga. Bo to jest ta przestrzeń, i publiczna i sztuki, i sacrum i profanum, i jeszcze jakaś inna, którą odkrył Marian Panek i cały czas, dzieli się nią z nami. Przestrzeń jego uwodzicielskiego labiryntu, przestrzeń jego pasji i namiętności, w którą niebezpiecznie jest się zanurzać, nie trzymając w dłoni nici Ariadny.

Marian Panek - retrospektywa działalności twórczej 1973-2011, „Inne przestrzenie” - wystawa jubileuszowa 35-lecie twórczości artystycznej, 5 listopada 2011 r. Konduktorownia RTZPSP



Portret głodnego 1995, assemblage na płycie.



Bitwa pod Grunwaldem 2002, olej na płycie.

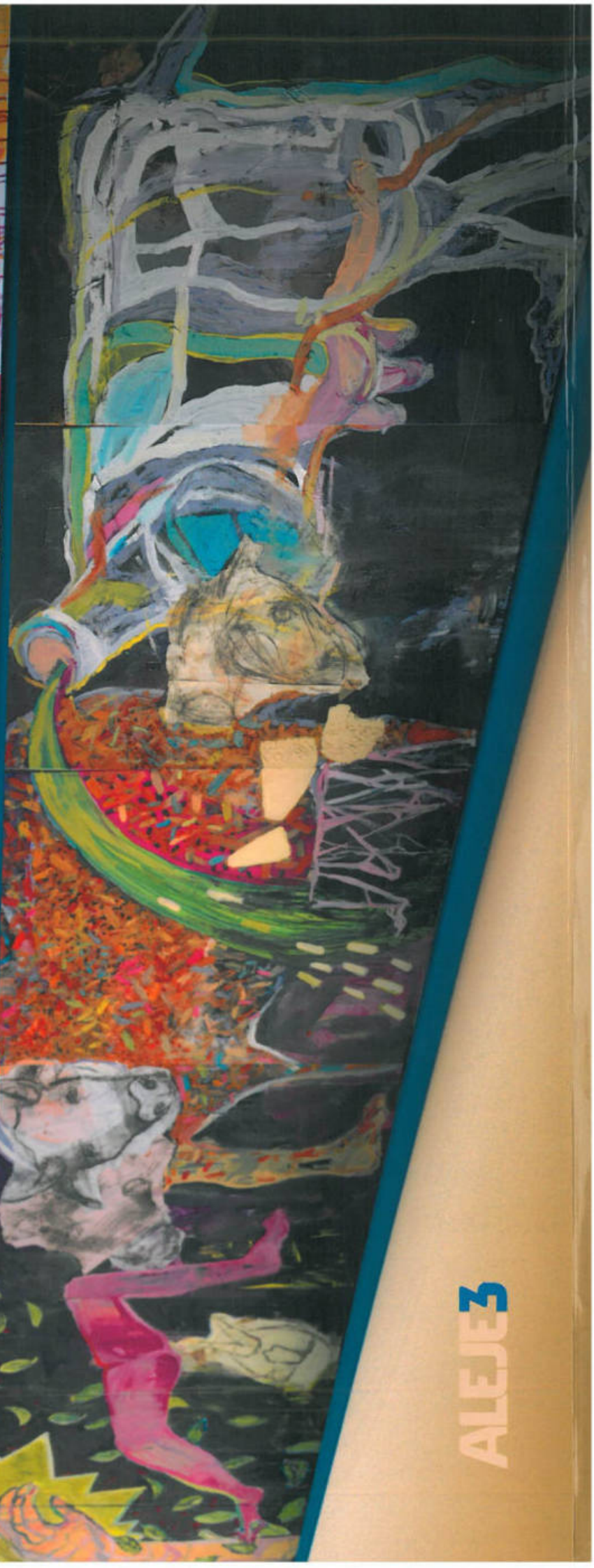
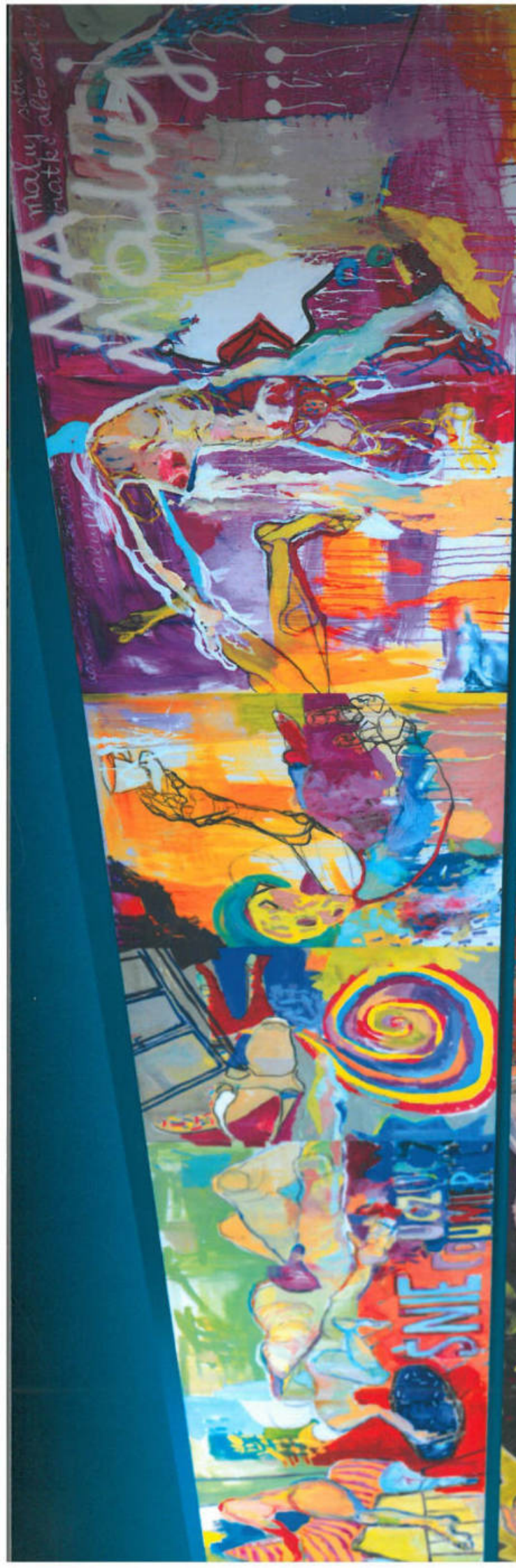


Leżąca - akt 2000, z cyklu „Erotyki”, tempera, pastel na papierze.



Zachód Słońca 1998, olej na płótnie.

35-lecie
pracy twórczej
Mariana Panka



ALEJES